

PORADNIK

JEZYKOWY

PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO NAUKOWE

Warszawa 1972



(304)

Redaktor i przewodniczący Komitetu Redakcyjnego:
prof. dr Witold Doroszewski
Zastępca redaktora: doc. dr Mieczysław Szymczak

KOMITET REDAKCYJNY

Dr Barbara Falińska, doc. dr Hubert Górnowicz (Gdańsk), doc. dr Halina Kurkowska,
dr Zofia Mianowska, prof. dr Leszek Moszyński (Gdańsk), dr hab. Wanda Pomianow-
ska, doc. dr Andrzej Sieczkowski, prof. dr Stanisław Skorupka, prof. dr Zdzisław
Stieber, mgr Alicja Szlązakowa, prof. dr Witold Taszycki (Kraków)

Sekretarz redakcji — mgr Magdalena Foland

TREŚĆ NUMERU

<i>Wanda Budziszewska</i> : Mit a nazwa rośliny	573
<i>Zygmunt Brocki</i> : <i>Halny — halniak</i> , dwie nazwy — dwa style	577
<i>Eugeniusz Grodziński</i> : Wieloznaczność a homonimia	585
<i>Klemens Stępiak</i> : Miejsce i rola gwar środowiskowych w rozwoju języka narodowego	593
<i>Stanisław Kania</i> : Grypsera	597

JĘZYK POLSKI W SZKOLE

<i>Jerzy Podracki</i> : Zygmun Saloni — Błędy językowe w pracach pisemnych uc- niów liceum ogólnokształcącego. Próba analizy językoznawczej	603
--	-----

JĘZYK POLSKI ZA GRANICĄ

<i>Djordje Živanović</i> (tłum. <i>Włodzimierz Pianka</i>): Poljski u 100 lekcija — trochę wyjaśnień w związku z recenzją W. Lubasia	609
--	-----

RECENZJE

<i>Janina Wójtowicz</i> : Kazimierz Bajor — Zagadnienie doboru słownictwa do nau- ki języka rosyjskiego	612
<i>Stanisław Gajda</i> : Henryk Borek — Opolszczyzna w świetle nazw miejscowych	616

UZUPEŁNIENIA — UWAGI — SPOSTRZEŻENIA

<i>Witold Doroszewski</i> — Racje transliteracji	619
--	-----

CO PISZĄ O JĘZYKU? — A. S.	620
----------------------------	-----

OBJASNIENIA WYRAZÓW I ZWROTÓW — W. D.	624
---------------------------------------	-----

„Poradnik Językowy” jest wydawany z dotacji Ministerstwa Nauki, Szkolnictwa
Wyższego i Techniki i polecony jako pismo, które powinno znaleźć się w każdej
bibliotece szkolnej (komunikat nr 142/PR4-552-29/68/ ogłoszony w Dzienniku Urzędo-
wym MOiSW z dnia 31.XII.1968 r.).

Wydawca: Państwowe Wydawnictwo Naukowe: Warszawa, ul. Miodowa 10
Redakcja: Warszawa, ul. Nowy Świat 72, Pałac Staszica, tel. 26-52-31 wewn. 90

Nakład 2630 (2469+161). Ark. wyd. 5,0. Ark. druk. 4,0. Papier druk. sat. kl. V, 62 g 70×100.
Odd. do skł. 17.X.1972. Podpis. do druku w grudniu 1972. Druk uk. w grudniu 1972. Zam. 1431/72. A-87
Cena zł 6.—

Drukarnia im. Rewolucji Październikowej w Warszawie.

PORADNIK JĘZYKOWY

MIESIĘCZNIK ZAŁOŻONY W R. 1901 PRZEZ ROMANA ZAWILIŃSKIEGO
ORGAN TOWARZYSTWA KULTURY JĘZYKA

0322



Wanda Budziszewska

MIT A NAZWA ROŚLINY

Każdy, kto zajmował się nazwami roślin, natknął się na problem stosunku nazwy do określonego podania czy baśni. W ten sposób zresztą już od bardzo dawna wyjaśnia się powstanie wielu nazw. Toteż w niżej podanych uwagach ograniczę się w zasadzie do analizy nazw kilku roślin, do kilku dotąd nie zauważonych szczegółów i związków, jakie zachodzą między nazwami na różnych terenach i w różnych językach.

Do roślin, którym przypisywano własności czarodziejskie, należy *paproć*. Nosiła ona w gwarach rosyjskich nazwę *sveticvet*, wierzono bowiem, że „kwiat paproci” pomaga odnaleźć skarby, gdyż w miejscu, gdzie są ukryte, zapala się jaskrawym płomieniem¹. Mit o świecącym „kwiecie paproci” znany jest w różnych krajach słowiańskich i germańskich, natomiast zasięg nazwy *sveticvet* jest stosunkowo wąski. Ma ona jednak pewien odpowiednik w języku nowogreckim. Podanie z miejscowości Patras mówi o kwiecie, rosnącym na Peloponezie, który nazywa się *λαμπηδόνα* (dosłownie «błyszcząca»), por. ngr. *λάμπω* «błyszczę, świecę», wierzono, że on również świeci i również pomaga do odnalezienia skarbów².

Należy też zaznaczyć, że nasz skądinąd dość krytyczny S. Syreński, zielarz z początków XVII wieku, opisuje „ziołko Płomyk”. Nazwa jest kalką z niem. *Flammwurzel*, oznacza tajemniczą roślinę, która — według podania Józefa Flawiusza — rosła pod murem Jerozolimy i — jak zaznacza Syreński — świeciła „jako zwierzęca ábo wieczorna gwiazda”. Miała ona również inne własności czarodziejskie³. Przytoczona nazwa niemiec-

¹ N. Annenkov: *Botaničeskij slovar'*, Sanktpetersburg 1878, s. 54, dalej Ann.

² A. Thumb: *Handbuch der neugriechischen Volkssprache*, Strassburg 1895, s. 156.

³ S. Syreński: „Zielnik [...] to jest opisanie własne imion, przyrodzenia, skutków i mocy ziół, wszelakich drzew, krzewin [...]”, Kraków 1613, s. 336, dalej Syr.

ka jest z kolei dość swobodną kalką z gr. *'αγλαοφῶτις* (dosł. «świecąco-błyszcząca»), według wersji Klaudiusza Aelianusa⁴. Owo „ziołko Płomyk” traktuje się jako adaptację powieści o tajemniczej mandragorze. Wymienione nazwy o znaczeniu «błyszcząca» wskazują na obecność mitów o zasięgu niewątpliwie bardzo szerokim.

Baśnie ludowe mówią nie tylko o „kwiecie paproci”, ale i o jej nasieniu. We wsi Łopuszna nad Dunajcem opowiadano o gatunku paproci, zwanej *florencyna*, która raz do roku kwitnie niewidzialnie⁵. Nazwa powstała najprawdopodobniej przez kontaminację dial. podhal. *ferecyna* «paproć» z pol. *floren* «złoty pieniądz, dukat», wierzono bowiem, że paproć natychmiast po „przekwitnięciu” wydaje nasiona, które w ręku człowieka przekształcają się w złoto. Stąd nawet nasienie paproci nazywano w Niemczech (we Frankonii) *Dukatensame* «dukatowe nasienie»⁶.

Historycy literatury zastanawiali się nad tym, jaką to piękną roślinę widział Adam Mickiewicz na wodach Świtezi. Na podstawie opisu: „Białawym kwieciem, jak białe motylki, Unoszą się nad topielą. List ich zielony jak jodłowe szpilki, Kiedy je śniegi pobielą” oraz autopsji jeziora ustalono, że o ile nie jest to kwiat zrodzony z fantazji, nazwa dotyczyła stroiczki. Pozostaje jednak pytanie, dlaczego poeta dał tym kwiatom nazwę *cary*. Jak wiadomo, w języku rosyjskim występują nazwy *car'-zele*, *car'-trava*. O roślinie zwanej *car'-trava* pisał Melnikov, iż potężną mocą przepędza siłę nieczystą⁷.

W związku z tym należy rozpatrzyć, jakie rośliny noszą te nazwy. Znajdzie się tu *car'-trava* «tojad (*Aconitum excelsum*)», pod którą jakoby ukrył się szatan, strącony z nieba, bądź Chrystus, chroniący się przed siepaczami (Ann 6, 7). Trzeba zaznaczyć, że jest to roślina trująca. Dalej — «lepieźnik (*Petasites vulgaris*)» (Ann 245). O roślinie tej pisał Marcin z Urzędowa: „To ziele zową z Niemieckiego *Morowy korzeń* / iż korzeń tego ziele przeciw febróm morowym / naszláchetnieyszé lekarstwo: zową téż *Carz ziele* / iákoby Césarz nád ziółmi szlachetności”⁸. Dalszą nazwą jest ros. *car'-zel'e* «podbiał (*Tussilago farfara*)» — roślina lecznicza, używana w medycynie (Ann 366). Tu należy *car'-trava* «jaskier ostry (*Ranunculus acris*)» (Ann 290). Według S. Syreńskiego rośliny tej używano również przeciw morowemu powietrzu: „Morowego powietrza ktoby záchwycił utluc Jaskru” (Syr 785); jednocześnie jest rośliną trującą. Dalej — ukr. *car' zille*, *car'-sil* «ostrózcza (*Delphinium elatum*)» — roślina lecznicza,

⁴ H. Marzel: „Zauberpflanzen Hexentränke Brauchtum und Aberglaube”, Stuttgart 1963, dalej Mar.

⁵ St. C.: *Pojęcia ludu o przyrodzie*, „Wisła”, t. VIII, Warszawa 1894, s. 143.

⁶ *Handwörterbuch des deutschen Aberglaubens*, t. II, Berlin u. Leipzig 1929, s. 1220.

⁷ Melnikova podaje za Annekovem, Ann 290.

⁸ Marcin z Urzędowa: „Herbarz polski”, Kraków 1595. s. 245.

na Syberii używana do leczenia trudno uleczalnych chorób jak epilepsji, puchliny wodnej itp. (Ann 124); ukr. (z Besarabii) *car'-zel'e* «wilżyna (Ononis hircina)» — roślina lecznicza (przeciw chorobom gardła), ros. dial. *car'-trava* «dyptam (Dictamus Fraxinella)» — dawniej miała wielkie zastosowanie w medycynie, m.in. przeciw epilepsji i przy dżumie (Ann 126).

Podobnie kobiety ukraińskie wykopując czarodziejską „mandragorę” w dobrej intencji — przemawiały do niej: „Moja caryczko”⁹. Ponieważ w środkowej Europie prawdziwa mandragora nie rośnie, nazwę tę przeniesiono na inne rośliny, którymi ją zastępowano przy czarach. Stąd ukr. *caryčka* «wilcza jagoda (Atropa belladonna)»¹⁰ — roślina trująca, też rum. *împărătreasă-buruienilor* «ts.», dosłownie «cesarzowa (królowa) ziół»¹¹ i rum. *împărătreasă* «przestęp (Bryonia)», dosł. «cesarzowa (królowa)» — roślina trująca, której przypisywano własności czarodziejskie. W Czechach wierzono, iż dobrze traktowana, otaczana opieką, przynosi pożytek gospodarstwu, uważano ją jednak za niebezpieczną dla rozumu i duszy¹². Według wierzeń Ukraińców roślina ta wyrwana mściła się okrutnie, powodując rany, a nawet kalectwo¹³.

Zatem wspólną cechą tak nazywanych roślin było to, że przypisywano im posiadanie siły i władzy, możliwość leczenia z ciężkich chorób (wywołanych przez złe moce) lub przyprawiania o nie czy nawet o śmierć. Taką właśnie władzę miały Mickiewiczowskie *cary*: „Kto tylko ściągnął do głębini ramię, tak straszna jest kwiatów władza, że go natychmiast choroba wyłamie i śmierć gwałtowna ugadza”. Nazwa *car-trawa* mogła być Mickiewiczowi znana z Białorusi, gdzie oznacza ona lepieźnik¹⁴.

Warto zaznaczyć, że wspomniany tu pod nazwą *car'-zel'e* «lepieźnik» nazywa się po czesku *devětsil*. Podstawą semantyczną tej ostatniej nazwy, znanej w wielu językach słowiańskich, jest «dziewięć sił» (Mach 251). Nazwą tą określa się różne rośliny lecznicze i czarodziejskie, por. też niem. *Neunkraftwurzel* «lepieźnik» (dosł. «korzeń dziewięciu sił»), *Negenkraft* — «gatunek lepieźnika (Petasites hybridus)», ziele używane w Niemczech przez czarownice (Mar 45). O tym, że niektórym roślinom istotnie przypisywano posiadanie dziewięciu sił, wymownie świadczy anglosaskie „Błogosławieństwo dziewięciu ziół”: „Zatem tych dziewięć ziół ma moc prze-

⁹ B. Gustawicz: *O korzeniach czarodziejskich w lecznictwie ludowym u nas i indziej*, „Lud” X, Kraków 1904, s. 275.

¹⁰ S. Małowicki: *Słownik botaniczny łacińsko-małowicki*, Kraków 1936, s. 49.

¹¹ A. Candrea: *Dicționarul limbii române din trecut și de astăzi. Dicționarul enciclopedic ilustrat „Cartea românească”*, București 1931, s. 757.

¹² V. Machek: „Česká a slovenská jména rostlin”, Praha 1954, s. 227.

¹³ *Handwörterbuch des deutschen Aberglaubens*, t. IX, Berlin u. Leipzig 1938, s. 885.

¹⁴ A. I. Kiselevskij: *Latino-russko-belorusskij botaničeskij slovar'*, Mińsk 1967, s. 94.

ciw dziewięciu złym duchom, przeciw dziewięciu truciznom i przeciw dziewięciu zaraźliwym chorobom”¹⁵.

Może zdarzyć się i tak, że taka półbaśniowa nazwa wejdzie do literatury jako imię własne. Bohaterem znanego opowiadania L. Tołstoja jest Hadzi-Murat. Imię swoje zawdzięcza pewnemu gatunkowi ostu, który w dialektach rosyjskich nazywa się *car'-Murat*. L. Tołstoj opowiada, że historia Hadzi-Murata (mężnego przywódcy muzułmańskiego, który zginął niepotrzebnie) przypomniła mu się wtedy, gdy zerwał kwiat ostu, zwanego przez lud *tatarzynem* (*tatarin*). Jest to ten sam oset, który inaczej nazywa się *car'-Murom* «*Carduus crispus*», zapewne zmienione z *car'-Murat* «oset (*Carduus*)» (Ann 84).

Mity stwarzał również Kościół, np. apoteozując świętych i szerząc ich kult za pomocą świętych obrazów. I to również znalazło wyraz w nazwach roślin. Toteż z jednej strony przy badaniu gwar możemy spotkać się po prostu ze stwierdzeniem, że: „Na uobraże byu świnty Juzev z lelijom v rynce” (Kramsk¹⁶), a z drugiej — mamy już gotową nazwę: *lilia świętego Józefa* «lilia biała (*Lilium candidum*)» (Pięćmorgi świeckie — Słgw, też z północnego Podlasia¹⁷). W katolickiej części Jugosławii, w Dalmacji, ten sam kwiat nazywa się *cviće sv. Antona*¹⁸.

O ile dzięki Kościołowi, zwłaszcza katolickiemu, lilia zyskała dobrą sławę, o tyle kąkol ją stracił. V. Machek podaje czeską ludową nazwę *čert* «kąkol», zaznaczając, że powód jej jest mu nieznan (Mach 78). W Polsce rozpowszechnione są wierzenia, że w kąkolu siedzi diabeł. Spotkałam się z tym w pow. konińskim, znane jest również na północnym Podlasiu (N). W Nowym Testamencie jest powiedziane wyraźnie: „Kąkolem są synowie Złego. Nieprzyjacielem zaś, który go posiał, jest diabeł” (Mat 13, 38-39). Tę wypowiedź brano dosłownie, co wyjaśnia zarówno nazwę czes. *čert* «kąkol», jak i związane z tym kwiatem wierzenia polskie. Znow zasieg tak magicznej nazwy jest niewspółmiernie mały w stosunku do przyczyny, jaka ją wywołała. W każdym razie taka nazwa nie mogłaby powstać na terenach, gdzie działała cerkiew prawosławna, bo w tekstach cerkiewnych nie występuje *kąkol*, tylko *plěvěľ* «chwast».

Zatem mit stwarza tylko możliwość powstania odpowiedniej nazwy, która może, ale wcale nie musi być zrealizowana, a poza tym może być realizowana w różny sposób. Niektóre z tak zrodzonych nazw dzięki swej niecodzienności weszły do literatury pięknej.

¹⁵ Tłumaczone z przekładu niemieckiego, zob. H. Marzel, *op. cit.*, s. 75.

¹⁶ Korzystałam z materiałów Pracowni Atlasu i Słownika Gwar Polskich w Krakowie, dalej Słgw.

¹⁷ Informacja od p. B. Newelskiej, pochodzącej ze Stoczka Łukowskiego, dalej N.

¹⁸ F. Ivanišević: *Poljica*, „Zbornik za narodni život i običaje južnih slavena”, Zagreb 1903, t. VIII, s. 211.

Zygmunt Brocki

HALNY — HALNIAK, DWIE NAZWY — DWA STYLE

W r. 1969 na Leniwce pod Kiezmarkiem rozpoczęto budowę mostu stałego, który zastąpi most pontonowy, od lat sprawiający wiele kłopotów. W roku następnym „Głos Wybrzeża” (nr 197) przypomniał to słowami:

pocziwy „pontoniak” przysparza kłopotów,

w artykule pod tytułem:

Rośnie konkurent „pontoniaka”.

SJPDor wyraz *pontoniak* zalicza do słownictwa gwary miejskiej (kwalifikator: „gw. miejska”), tak samo, jak np. wyraz *dęciak* «szywny, męski kapelusz; melonik» (por. tytuł zbioru felietonów Wiecha: „Syrena w *dęciaku*”); podobnie potraktowany jest tutaj np. wyraz *ważniak*: SJPDor rejestruje go z kwalifikatorem „wiech[owy]”.

W wyrazach tych mamy formant sufiksalny *-’ak*, typowy dla Warszawy i Mazowsza, dzisiaj szerzący się wprawdzie i na innych obszarach¹, ale w Warszawie cieszący się szczególnym wzięciem, jak pisał o tym niejeden autor², a prof. W. Doroszewski w szczegółowym wypadku odnoszą-

¹ Między innymi w słowotwórstwie nazw mieszkańców, zastępując formant *-czyk*, *-janin* (np. *torunianin* «mieszkaniec Torunia» — dziś często *toruniak*). Zob.: B. Lindert: „Formanty służące do tworzenia nazw mieszkańców w językach słowiańskich”, Lublin 1967, s. 56.

² Małopolanin S. Wasylewski (ur. 1885 r. w Stanisławowie, zm. 1953 r.) eseista, prozaik i dziennikarz, w wydanym w 1930 r. w Poznaniu zbiorze szkiców „Na końcu języka” tę mazowiecką właściwość słowotwórczą nazwał żartobliwie *ako-manią* i „*akosympatią*”, zob. tam szkic *Ako-mania i jej skutki*, w wydaniu Ossolineum z 1957 r. na s. 25—29. Pisał np.: „Wysłuchajmy się na chwilę w gwarę Warszawy, aby sprawdzić, że ta «akosympatia» przeszła w krew i kość jej słownictwa i uderza natychmiast nawet w ucho laika. A więc: do szkół chodzą *uczniaki* [...], *Pawiak* dlatego, że na [ul.] Pawiej, [...] *okrągłaki* są w Łazienkach [były one zresztą nie tylko w Łazienkach — uw. Z. B.], *żrebaki* i *cielaki* na futra dla pań [...]” — cyt. z wyd. 1957 r., s. 27-28. Wypowiedź Wasylewskiego może ktoś odczytać jako lekko ironizująca, ale jeśli chodzi np. o wymienione przez niego rodzaje futer, to czy możliwa jest wypowiedź typu: „Rosia kupiła sobie samochód i *żrebięta*”, albo: „W cecdecie [CDT] widziałem piękne *cielęta*” — ? Wprawdzie np. *cielaki* (plur.) znaczy również, jak *cielęta*, «małe i młode np. krowy», ale *cielęta* jest znakiem tylko tego zootechnicznego desygnatu i umieszczenie tego desygnatu np. w domu towarowym da efekt komiczny. A więc opozycja *-aki* : *-ęta* (plur.) przydaje się językowi. Nie chcąc nazwać futra *cielakami* trzeba by było powiedzieć: *futro ze skór cieląt*, ... ze

cym się właśnie do wyrazu *pontoniak*, i to dwukrotnie. W artykule *Język Warszawy* opublikowanym w numerze 1. tygodnika „Nowa Epoka” z 1945 r.³ prof. Doroszewski zwrócił uwagę na wartość stylistyczną tego wyrazu; pisał, że gdy ktoś komuś wskaże okólną drogę, przez *most pontonowy*, to może ogarnąć depresja, ale gdy ten ktoś nie użyje nazwy *most pontonowy*, lecz powie: „Pan pójdzie *pontoniakiem*”, to się reaguje inaczej: chętniej się pójdzie taką drogą; i tu dodał: „Skromny, cieszący się takim wzięciem w Warszawie sufiks *-ak* — to sprawia”. Tak samo w 1962 r. w tygodniku „Stolica” (w artykule, o którym niżej):

W [...] funkcji zastępczo-skrótowej typowo warszawski jest przyrostek *-ak*: plac Kercelego — *Kercelak*, most pontonowy (w 1945 r.) — *pontoniak*, most Poniatowskiego — *Poniatowszczak* [...].

Ten sam formant *-ak* ma też np. wyraz *pikolak* «chłopiec usługujący w kawiarni, w restauracji, w hotelu itp.», w SJPDor zarejestrowany z kwalifikatorem „pot[oczny]”. Jego równoznacznik, a zarazem podstawa derywacyjna — wyraz *pikolo* (co z włos. *piccolo* «ts.») w SJPDor umieszczony jest z kwalifikatorem „rzad[ki]”. Jeśli dobrze pamiętam, wyraz *pikolak* był znacznie częściej używany niż *pikolo* (przed wojną; po wojnie pożyteczna instytucja takich podręcznych chłopców właściwie zamarła), może nie dlatego, że jest wyrazem jednoznacznym, gdy *pikolo* oznacza też pewien instrument muzyczny⁴ (użycie w kontekście nie powinno przecież wywoływać nieporozumień), ale przede wszystkim dlatego, że jest on wyrazistszy (por. tu też *chłopak*) i poręczniejszy, wygodniejszy, niż *pikolo*. Mimo to w wydanych w 1947 r. „Spotkaniach z Szymanowskim” J. Iwaszkiewicza wyraz *pikolak* użyty jest z jakimś zastrzeżeniem, bo w cudzysłowie⁵:

skóry cielęcica (?), ... ze *skóry cielęcej*. Zwróćmy też uwagę, że z tym znaczeniem wyraz *cielęta* należy do kategorii plurale tantum, co go indywidualizuje semantycznie. (Wyrazów: *cielaki*, *żrebaki* «rodzaje futer» nie wymienia T. Friedelówna w pracy „Kategoria plurale tantum w języku polskim”, Toruń 1968. W SJPDor z tym znaczeniem notowane jest tylko *żrebak[i]*).

³ O istnieniu tego artykułu wiedziałem tylko z bibliografii. Że jest w nim mowa o wyrazie *pontoniak*, wskazał mi sam Autor artykułu, za co Mu dziękuję.

⁴ Według „Słowniczka muzycznego” J. Habeli, Kraków 1956, s. v. *flet*: *flet mały*, *pikulina* lub *pikolo* «mniejsza odmiana fletu wielkiego, o skali o oktawę wyższej od fletu wielkiego» (SJPDor tego znaczenia wyrazu *pikolo* nie podaje); włos. *flauto piccolo*, gdzie *piccolo* «maleńki».

⁵ Również niepotrzebnie w cudzysłów ujęty jest termin *bocianie gniazdo* w tegoż autora „Czerwonych tarczach”, 1935 r. i wyd. nast.; na początku rozdz. XIII czytamy: „Na ogromnym i grubym słupie tkwiło «*bocianie gniazdo*», kosz półokrągły, na którym [raczej: w którym; uw. Z. B.] sterczał dniami i nocami nagi [?] marynarz”. Termin *bocianie gniazdo*, «na dawnych statkach i okrętach kosz umieszczony na szczycie najwyższego masztu, stanowiący punkt obserwacyjny dla marynarzy» (jak dziś definiuje SJPDor), jest w literaturze znany co najmniej od „Flisu” Kłonowica.

W „Astorii” [...] zawarł znajomość z młodym „pikolakiem”, który w chwilach wolnych czytał Conrada

— co cytuję z hasła *pikolak* SJPDor. Cudzysłów jest tu zbędny, „pikolak”, w cudzysłowiu, może być zrozumiane jako «niby pikolak», «nie pikolak, ale udający go» itp., a przecież nie o to tu chodzi. Drugi autor cytowany w hasle *pikolak* SJPDor, L. Kruczkowski, cudzysłowu już nie używa:

Mały *pikolak* w podskokach popędził ku wyjściu

— cyt. z II wydania powieści „Sidła”, 1948 r.

Bez cudzysłowu mamy też *pontoniak* we „Wrześniu” J. Putramenta, wyd. 1952 r. Odpowiednie zdanie z tej powieści jest jedyną cytata w hasle *pontoniak* SJPDor⁶. Tutaj podam nieco szerszy kontekst:

Skręcili na Górę Kalwarię: czołgi. Boczny drogami na Warkę. Powiedzianno, że w stronę Warszawy jest most przez Wisłę, jeszcze nie wysadzony. Tu się im poszczędziło. Śmignęli tym *pontoniakiem*, aż zagrzmiały luźno leżące deski. Z drugiej strony saperzy niecierpliwie przebierali nogami: podobno pod Górą Kalwarią Niemcy już przeprawili się przez Wisłę.

Natomiast — jak widzimy na początku naszego artykułu — w cudzysłowiu jest ten wyraz w artykule „Głosu Wybrzeża”. W tym wypadku można się domyślać, że dziennikarz cudzysłowem chciał zasygnalizować, że *pontoniak* nie jest tu właściwą nazwą mostu na pontonach (jego nazwą

⁶ Wilnianin Putrament wyraz *pontoniak* niewątpliwie wziął z warszawskiej gwary miejskiej: tak Warszawa nazwała most pontonowy zbudowany w marcu 1945 r. naprzeciw ul. Ratuszowej (a może już i jego poprzednika, zbudowanego tutaj w nocy z 17 na 18 stycznia; ten eksploatowany był tylko 19 dni), a następnie także most zbudowany w kwietniu 1947 r. naprzeciw ul. Karowej (daty powstawania kolejnych mostów po wyzwoleniu Warszawy podaje J. Przymanowski w art. *Pośrodku mostu*, „Stolica” XXVII, 1972, nr 14/15, s. 7. „Kronika wydarzeń w Warszawie 1939-1949”, Warszawa 1970, s. 119, podaje informacje tylko o drugim moście pontonowym; w kwietniu 1945 r. przeniesiono go na Saską Kępę, ostatecznie zdemontowano w sierpniu 1946 r.). Czy wyraz ten żył wcześniej, np. we wrześniu 1939 r., którego dotyczy akcja powieści Putramenta? Do 1945 r. w Warszawie, gdzie się urodziłem i wychowałem, nie słyszałem tego wyrazu. To oczywiście nie może być dowodem jego nieistnienia do 1945 r., ale zwróćmy uwagę, że 1) w międzywojennej Warszawie nie było okazji, aby wyraz taki powstał: nie było tutaj mostu pontonowego, 2) wyraz *pontoniak* nie zawiera też *Słownik gwary warszawskiej XIX wieku* B. Wieczorkiewicza, wyd. 1966 r., choć do 1864 r. w Warszawie most pontonowy był. Wprawdzie w XIX w. most taki nazywano jeszcze *mostem łyżwowym*, ale znana już wtedy była i nazwa *most pontonowy* (historią tych terminów zajmuję się na innym miejscu), która jest podstawą nazwy *pontoniak*. Prof. Doroszewski pisząc o *pontoniaku* w 1945 r. i wspominając ten wyraz w 1962 r. (zob. wyżej) odnosi go do warszawskiego mostu pontonowego z 1945 r., a nie jakiegoś innego. Oczywiście nie jest wykluczone, że już wcześniej nazwa *pontoniak* mogła powstać wśród pochodzących z Warszawy saperów oddziałów mostowych i mogła być przez nich używana poza stosunkami służbowymi.

jest *most pontonowy*; występuje ona zresztą w tymże artykule), może odczuwał, że *pontoniak* to wyraźny warszawizm i użyty w lokalnej gazecie pomorskiej i odniesiony do obiektu znajdującego się na Pomorzu bez cudzysłowu może razić, może chciał tym cudzysłowem dać znać, że użył wyrazu *pontoniak* jakby „zastępczo”, może jakby „famiłarnie” czy przygodnie. (Inna sprawa, że nie musiał go użyć)⁷.

Tymczasem ta sama prasa gdańska stale od lat używa innego warszawizmu, nazwy własnej *Starówka*, w odniesieniu zresztą nie do odpowiedniej dzielnicy Warszawy, lecz do jednej ze starych dzielnic Gdańska, którą nazywa też, choć znacznie rzadziej, *Starym Miastem*.

O tych dwóch obocznych nazwach najstarszej dzielnicy Warszawy pisał w r. 1962 prof. W. Doroszewski w tygodniku „Stolica” (nr 12). Wniosek praktyczny wynikający z przedstawionych w artykule uwag Autor sformułował tak (podkreślenia — Z. B.):

Nazwy *Stare Miasto* i *Starówka* odnoszą się do tej samej dzielnicy Warszawy, ale to, co znaczy jedna z nich, nie jest identyczne z tym, co znaczy druga. Nie są one identyczne ze względu na swoją wartość stylistyczną, to znaczy, że nie są identyczne jako fakty społeczne [...] *Stare Miasto* — to nazwa starej, otoczonej murami dzielnicy tego miasta, które w wieku XV było stolicą

⁷ Abstrahując od omawianego wypadku: nadużywanie cudzysłowu w naszej prasie trwa. Nieco przykładów podał prof. Doroszewski w 1965 r. (*O funkcji cudzysłowu*, „Studia z Filologii Polskiej i Słowiańskiej” t. 5), przed nadużyciem tego znaku graficznego przestrzega dziennikarzy „Poradnik językowy. Podręcznik dla pracowników prasy, radia i telewizji” M. Kniaginowej i W. Pisarka (II wyd. w 1969 r., tu s. 22-23), na tę wręcz już obłędną modę zwrócił uwagę nawet Kisiel (S. Kisielewski), choć przecież dla spraw językowych (i ortograficznych) nie ma on zrozumienia (a jego uwagi o tych sprawach, i przycinki pod adresem językoznawstwa i językoznawców, są wręcz gorszące, z drugiej zaś strony ośmieszające go samego). Szpalty naszych gazet wprost się roją od cudzysłowów i inwazja tego znaku nie tylko nie słabnie, ale — według moich obserwacji — jeszcze się wzmacnia. Mania ta wtargnęła i do książek. Np. setki (dosłownie: setki) absolutnie zbędnych cudzysłowów zawierają 336 stronic liczące wspomnienia prof. A. Rylkego „W służbie okrętu” (Gdynia 1967): ktoś o usposobieniu wesołym sypał „kawałami”, ktoś pytał o swoje miasto „rodzinne”, w pewnych wypadkach człowiek „myśli prędko”, „czasy” nie były jeszcze normalne, po „wypadkach” majowych, ściany były „gołe”, restauracja była „z tradycją”, kelner był „z prawdziwego zdarzenia”, pewni inżynierowie byli „specjalistami” (tymczasem z tekstu wynika, że restauracja rzeczywiście była z tradycją, kelner rzeczywiście był fachowy i sprawny, a więc istotnie był to kelner z prawdziwego zdarzenia, a ci inżynierowie rzeczywiście byli specjalistami), coś komuś było „solą w oku”, przekonał się o czymś „na własnej skórze”, wierzone „na ślepo”, szło o to, aby czegoś nie „przegapić”, pracownicy kupowali sobie w sklepie wiktuały „na drugie śniadanie”, „wziął się” do nauki języka rosyjskiego, firma otrzymała zlecenie na przeholowanie „latarniowca” itd., itd. Jeśli nawet te niepotrzebne cudzysłowy wyszły spod pióra autora, to przecież rzeczą redakcji, sprawującej pieczę nad literackim kształtem tych wspomnień, było je usunąć. Ale czy na pewno użył ich autor? Czy nie są one dziełem adiustatora redakcyjnego, nie zdolnego się oprzeć wpływowi prasy? Autor należał do pokolenia (ur. 1887 r.), które się w ten sposób nie zabawiało.

Księstwa Mazowieckiego, potem stało się stolicą Polski, nazwą dzielnicy, z którą się łączy nazwisko Kilińskiego, nazwa — spokojny symbol wielowiekowej tradycji historycznej. *Starówka* — to nazwa o charakterze wiechowoekspresywnym, której nie ma powodu tępić, ale która nie może rościć pretensji do tego, żeby się stać nazwą wyłączną dzielnicy staromiejskiej w Warszawie [...].

Kwintesencję rozważań Autora zawiera już tytuł tego artykułu: *Stare Miasto — Starówka, dwie nazwy — dwa style*. (Jak widać, pozwoliłem sobie ten tytuł, po odpowiedniej trawestacji, zastosować do niniejszego artykułu. O wyrazach: *halny*, *halniak* będzie mowa niżej).

Dziennikarze gdańscy (prasa i radio, zapewne też i telewizja) tych dwóch stylów jednak nie odczuwają i stale się tą wiechowoekspresywną *Starówką* posługują, co jest tym bardziej rażące, że jest ona odnoszona — jak już wspomniałem — nie do odpowiedniej dzielnicy Warszawy, lecz Gdańska.

A w pewnych okolicznościach, w pewnych kontekstach nazwa *Starówka* zgrzyta już wręcz hałaśliwie. Dziennikarze jednak są głusi, zgrzytów tych nie słyszą. Oto przykład⁸: W marcu 1972 r. Wojewódzki Dom Kultury w Gdańsku i redakcja „Głosu Wybrzeża” zorganizowały dyskusję, której tematem była jedna ze starych dzielnic Gdańska. Wypowiedzi dyskutantów (architektów, historyków sztuki, konserwatorów zabytków, plastyków) „Głos Wybrzeża” wydrukował w tymże miesiącu, w numerze 63. Poprzedzone są one notką redakcyjną, w której czytamy: „W 1945 roku bezcenna gdańska *Starówka* zniszczona była w 90 procentach [...]”; „dyskusja poświęcona aktualnym i przyszłościowym problemom gdańskiej *Starówki*”. Druk tych głosów dyskusyjnych anonsuje na stronie 1 notatka pt.

Gdańska *Starówka* — sprawą publiczną,

w której czytamy m.in.:

Gdańska *Starówka* — obiekt naszej dumy i jednocześnie trosk — była tematem [...].

Duma, troska, bezcenna wartość, sprawa publiczna — jakże się to wszystko klóci ze *Starówką*! Przed wojną warszawska ulica o nazwie *Nowy Świat* w mowie warszawiaków miała nazwę *Nowik*. Ale nikomu nie przyszło do głowy, aby napisać (np. w gazecie) np.: „*Nowik* — tematem dyskusji...”!

Inną sprawą jest, że dziennikarze gdańscy *Starówką* nazywają przede wszystkim, najczęściej, tę dzielnicę Gdańska, której historyczną i dzisiaj urzędową nazwą nie jest *Stare Miasto*, lecz *Główne Miasto* (właśnie Główn-

⁸ Przykładów użycia *Starówki* nie sposób tu przytaczać. Nazwę tę można spotkać niemal codziennie w tej lub innej gazecie gdańskiej, czy we wszystkich trzech jednocześnie. Z przykładów szczególnie rażących tu podaję tylko jeden.

nego Miasta dotyczyła dyskusja, którą zrelacjonował „Głos Wybrzeża” pt. *Gdańska Starówka — sprawą publiczną*). Prasa i radio (chyba też i telewizja) w Gdańsku dzielnicę o historycznej i urzędowej nazwie *Główne Miasto* stale nazywają *Starówką* lub *Starym Miastem* (tu przypomnieć należy, że w stosunkach publicznych a więc m.in. w prasie — wolno używać nazw miejscowych tylko w brzmieniu ustalonym przez odpowiednie akty prawne, używanie innych nazw jest prawnie zabronione!), choć *Stare Miasto* jest historyczną i urzędową nazwą innej dzielnicy Gdańska, starszej od Głównego Miasta, położonej na północ od Głównego Miasta. Tę najstarszą dzielnicę Gdańska prasa też nazywa *Starówką*, ale rzadko (zresztą pisze się o niej rzadziej niż o Głównym Mieście). Oczywiście i w tym wypadku nazwa *Starówka* jest nieuzasadniona. Tylko bowiem *Stare Miasto* jest nazwą — znów strawestuję sformułowanie prof. Doroszewskiego — z którą się łączy imię Mściwujów i Świętopołków, książąt gdańskich, których siedziba znajdowała się właśnie tutaj, na obszarze nazwanym później *Starym Miastem*, i ze *Starym Miastem*, a nie ze *Starówką*, łączy się pamięć bohaterskich pocztowców polskich, którzy właśnie tutaj, na Starym Mieście 1 września 1939 r. stawili czoło kontynuatorom politycznego i militarnego, zbrodniczego dzieła tych, którzy 14 listopada 1308 r. tutaj, na Starym Mieście, w masowej rzezi wymordowali setki gdańszczan.

Ale brak wyczucia różnych odmian polszczyzny, nieumiejętność użycia takiej lub innej nazwy zależnie od sytuacji czy kontekstu, nie jest udziałem tylko dziennikarzy⁹. Brakuje tego wyczucia np. autorowi nazwy własnej statku-chłodni, czyli chłodniowca¹⁰, który 15 marca 1972 r. wszedł w skład naszej floty. Nadano mu nazwę „*Halniak*”, od nazwy „wichru tatrzańskiego”, jak tę nazwę skomentował w tymże dniu „Dziennik Bałtycki” (nr 63). A więc i autor tej nazwy, i ten, co ją zatwierdzał, i dziennikarka, która ją objaśniła, nie zdają sobie sprawy z wartości stylistycznej wyrazu *halniak*, stanowiącego podstawę nazwy okrętowej „*Halniak*”. Nie zdają sobie sprawy z tego, że nazwą wiatru, o który tu chodzi, jest *halny*, a *halniak* to jego odmianka należąca do potocznej warstwy języka „ceprów”.

Właśnie z kwalifikatorem „pot[oczny]” wyraz *halniak* podany jest

⁹ Nazwa *Starówka* używana jest też przez prasę warszawską w odniesieniu do starych dzielnic różnych miast Polski. Niekiedy pisana jest małą literą, np. w tytule notatki „*Życia Warszawy*” 1972, nr 65, wyd. A: „Zaludnia się sandomierska *starówka*”.

¹⁰ W prasie często zamiast terminu *chłodniowiec* (co od *chłodnia*) używany jest wyraz *chłodnicowiec* (czego podstawą może być — *chłodnica*), np. w notatce dziennikarza zajmującego się specjalnie problematyką gospodarki morskiej: „[...] przekazany do eksploatacji M/S «Halniak» — prototypowy *chłodnicowiec* [...]. *Chłodnicowiec* [...] przeznaczony jest do przewozu ryb i przetworów mrożonych z łowisk do kraju” („*Życie Warszawy*” 1972, nr 59, wyd. A), czy w informacji PAP-a: „«Halniak» — pierwszy z serii *chłodnicowców* [...]” („*Życie Warszawy*” 1972, nr 65, wyd. A). W terminologii morskiej jest tylko *chłodniowiec*.

w SJPDor (bez przykładu użycia; po definicję odsyła się tu do hasła *halny*). Są nawet i tacy, którzy przed używaniem tego wyrazu przestrzegają. Na przykład znana miłośniczka Tatr i świetna ich znawczyni, Zofia Radwańska-Paryska, w wydanej w 1953 r. przez Naszą Księgarnię książce „Zielony świat Tatr” pisze (cytuję za hasłem *ceper* SJPDor):

Należy się wystrzegać mówienia: „*halniak*”. To brzydkie, żargonowe zniekształcenie rozpowszechniają turyści-cepry.

Zdanie to jest w całości nieco przesadne, określenie „brzydkie” ma charakter subiektywny, pejoratywne określenie „żargonowe” jest nieprecyzyjne, a „zniekształcenie” wymagałoby objaśnienia, ale faktem jest, że wyraz *halniak* jest niemiły zarówno Góralom, jak i prawdziwym miłośnikom Tatr i Podhala, miłośnikom i znawcom ich przyrody, folkloru i gwary, faktem jest, że Górale wyśmiewają ceprów używających tego wyrazu, wreszcie faktem jest, że się nie w każdej sytuacji można tym wyrazem posługiwać. Nie ma powodu go tępić (jak nie ma powodu tępić wyrazu *pontoniak* i nazwy *Starówka* jako nazwy najstarszej dzielnicy Warszawy) — zresztą i p. Radwańska-Paryska pisze tylko: „należy się wystrzegać” — trzeba jednak wiedzieć, gdzie, kiedy, w jakich dokumentach, w jakim kontekście można użyć tego wyrazu.

Nie powinien mieć on zastosowania właśnie w nazewnictwie okrętowym, tj. nie powinien być podstawą nazwy obiektu reprezentującego Polskę na morzach świata.

Jeśli już koniecznie w wypadku chłodniowca, o który tu idzie, miała być nazwa od nazwy wiatru typu fen, tj. występującego u nas w Karpatach i Sudetach silnego i porywistego wiatru wiejącego od szczytów ku dolinom — powinna to być nazwa „*Halny*”, nazwą tego wiatru bowiem jest u nas, zarówno w mowie ludzi gór, jak i w terminologii naukowej, w słownictwie fachowym meteorologów, właśnie *halny*¹¹.

Wyraz *halny* jest przymiotnikiem występującym w funkcji syntaktycznej i semantycznej rzeczownika¹². Oczywiście może on być podstawą nazwy statku („*Halny*”). W polskim nazewnictwie okrętowym znane są już nazwy będące zsubstantywowanymi przymiotnikami, nosiły je ścigacze okrętów podwodnych, np. „*Bystry*”, „*Odważny*”, „*Sprawny*”, „*Szybki*”, „*Śmiały*” (w sumie 18 takich nazw)¹³.

Wyraz *halniak* jest przekształceniem (co oczywiście nie znaczy, że jest „zniekształceniem”) urzeczownikowionego przymiotnika *halny* za pomo-

¹¹ Inna sprawa, że *halny* jest wiatrem wywołującym wzrost temperatury, powodującym ocieplenie, gdy funkcją chłodniowców jest transport ładunków w niskiej temperaturze.

¹² Zob.: S. Jodłowski: „Substantywizacja przymiotników w języku polskim”, Wrocław 1964 (*halny* wspomniane na s. 44).

¹³ Zob.: H. Górnowicz: *Nazwy własne polskich statków i okrętów pełnomorskich*, „Rocznik Gdański” T. 21: 1962, s. 28-29.

cą formantu -'ak. Ponieważ w *halniak* jest tak lubiany przez mieszkańców stolicy Polski formant -ak, niektórzy sądzą, że wyraz ten jest tworem warszawiaków (warszawskich ceprów — mówią). Może tak, ale niekoniecznie, wiadomo bowiem, że się formant ten szerzy także poza Warszawą i Mazowszem, *halniak* mogło więc powstać i wśród turystów nie będących warszawiakami.

Trudno obiektywnie uznać *halniak* za jakiś żargonizm czy wyraz typu *odważniak* (od *odważny* «człowiek odznaczający się odwagą»), który jest już wyraźnym „gwaryzmem” miejskim (warszawskim), nie mógłby on więc być np. podstawą nazwy statku (*„*Odważniak*”) — są jednak inne względy przemawiające przeciw przenoszeniu wyrazu *halniak* do nazewnictwa okrętowego.

W powojennym polskim nazewnictwie okrętowym popełniono sporo błędów¹⁴. Dlatego wskazywano już, że osoby, które się w przedsiębiorstwach armatorskich zajmują projektowaniem nazw dla statków, powinny korzystać z pomocy tych, którzy się językiem zajmują zawodowo, skoro sami się niedostatecznie orientują — ogólnie mówiąc — w faktach językowych. Z pomocy tej jednak nie chcą korzystać¹⁵. Jeśli zaś chodzi o „*Halniak*” — „*Halny*”, to w tym wypadku konsultacji nawet nie trzeba było szukać poza kręgiem pracowników żeglugi: przecież wiadomo (nie tylko socjologom zajmującym się zawodami morskimi), że w naszej flocie jest wielu marynarzy pochodzących — właśnie z gór...

¹⁴ Zob. np.: Górnowicz: o.c., s. 18, 25, 34; Z. Brocki: *Nazwy statków a językoznawstwo. (Przyczynek do zagadnienia praktycznych zastosowań językoznawstwa)*, „Poradnik Językowy” 1965, s. 17-22; tenże: *W sprawie nazwy [statku] „Józef Conrad”, „Litery” R. 11: 1971, nr 11, s. 22-23.*

¹⁵ Z jednym wyjątkiem: Polskie Linie Oceaniczne zwróciły się swego czasu do prof. Doroszewskiego z prośbą o informacje z zakresu nazw: *Polska i Polonia*, w związku z projektem nadania jednej z tych nazw następcy motorowca „Batory”. Zob. o tym: Z. Brocki: *Jeszcze o nazwie Polonia w funkcji nazwy statku*, „Poradnik Językowy” 1969, s. 82-84, — O wyrażeniu *halniak* pisał prof. W. Doroszewski w t. 1 poradnika „O kulturę słowa”, s. 505—506. — Dopisek w korekcie (w związku ze sprawą cudzysłowu, o czym wyżej w przyp. 7): wydanie XVII „Zasad pisowni [...]” S. Jodłowskiego i W. Taszyckiego z 1972 r. zawiera już wyraźny przepis, kiedy cudzysłowu nie należy używać (zob. tam s. 204). Czy przepis ten zlikwiduje w prasie cudzysłowomanię?

WIELOZNACZNOŚĆ A HOMONIMIA

W niniejszym artykule zastanowimy się nad dwiema zasadniczymi koncepcjami homonimii, tzn. nad koncepcją heterogeniczną, inaczej etymologiczną, i homogeniczną, inaczej semantyczną¹, oraz nad relacjami między wieloznacznością i homonimią.

Definicję homonimii zgodną z koncepcją heterogeniczną znajdujemy np. w Wielkiej Encyklopedii Powszechnej: „Homonim [...] wyraz mający jednakowe brzmienie z innym wyrazem, lecz różniący się od niego pochodzeniem i wartością znaczeniową, często też pisownią [...]”². Definicje wypływające z drugiej koncepcji homonimii zawarte są m.in. w Encyclopaedia Britannica („Homonim jest terminem oznaczającym wyrazy, które różnią się znaczeniem, lecz są tak samo wymawiane bądź pisane, bądź jedno i drugie”³) oraz w Grand Larousse Encyclopédique („Homonimami są wyrazy, jednakowe pod względem wymowy lub pisowni, lecz mające różne znaczenie”⁴). Różnica między obu koncepcjami jest oczywista: wg koncepcji heterogenicznej homonimiami są jednobrzmiące i jednakowo pisane wyrazy mające zupełnie różne znaczenia i różną etymologię; wg koncepcji homogenicznej, szerszej zakresowo, homonimiami są jednobrzmiące i jednakowo pisane wyrazy, mające zupełnie różne znaczenia i różną bądź wspólną etymologię⁵.

Zwolennicy koncepcji heterogenicznej wymieniają bez koniecznej potrzeby warunek posiadania przez homonim znaczenia odmiennego od znaczenia jego homonimicznego odpowiednika. Wystarczający jest chyba warunek różnej etymologii, ponieważ mało jest prawdopodobne, aby dwa jednobrzmiące wyrazy o stwierdzonej przez badaczy odmiennej etymologii miały mimo to takie samo lub choćby zbliżone znaczenie. Co prawda, wcale nierzadkie są wypadki, kiedy to ludzie stosując tzw. naiwną etymologię dorabiają *ex post* podobieństwo znaczeń, a co za tym idzie,

¹ Nazwy zgodne z określeniami D. Buttler, por. artykuły poświęcone homonimii, ogłoszone w „Poradniku Językowym” na przełomie 1970 i 1971 r.

² Wielka Encyklopedia Powszechna, t. IV, Warszawa 1964, s. 735.

³ Encyclopaedia Britannica, vol. XI, p. 709.

⁴ Grand Larousse Encyclopédique, t. V, Paris 1962, p. 941.

⁵ Pomijamy z braku miejsca wszelkie rozważania dotyczące homonimii częściowej: homofonii, homografii, zbieżności brzmieniowej poszczególnych form różnych wyrazów itd.

rzekomo wspólne pochodzenie jednobrzmiącym wyrazom, których niezależny od siebie źródłosłów nie ulega w oczach lingwistów wątpliwości. Pomysłowość „naiwnej etymologii” jest zresztą nieograniczona i — gdyby znalazła ona uznanie w lingwistyce naukowej — samo istnienie pojęcia homonimu, zarówno heterogenicznego, jak i homogenicznego, byłoby poważnie zagrożone⁶.

Jakie są zalety i wady obu przeciwstawnych koncepcji homonimii? Podstawowa zaleta koncepcji heterogenicznej jest jasna: ułatwia ona wyróżnienie homonimów spośród całego zasobu leksykalnego danego języka. Mając do czynienia z parami lub grupami wyrazów o jednakowym brzmieniu i takiej samej pisowni, językoznawca — jeżeli stwierdza różną etymologię każdego z tych wyrazów — bez wahania zalicza je do kategorii homonimów. Wyraz natomiast, którego poszczególne znaczenia nie mają ze sobą nic wspólnego, nie może być rozbity na pary (grupy) homonimiczne, jeżeli odmienny jego rodowód w różnych znaczeniach nie jest ustalony. Heterogeniczna koncepcja homonimu wyklucza subiektywizm i niezgodność opinii językoznawców, które wydają się trudne do uniknięcia, jeżeli o tym, czy dana konstrukcja językowa jest jednym wyrazem czy też parą homonimiczną, ma decydować kryterium semantyczne.

Można jednak powołać się również na argumenty przemawiające na rzecz koncepcji przeciwnej, homogenicznej. Otóż koncepcją heterogeniczną posługuje się na ogół tylko zawodowy językoznawca. Dla przeciętnego użytkownika języka parą homonimiczną jest każda para wyrazów o jednakowym brzmieniu i całkowicie różnym znaczeniu; nie bierze on pod uwagę kwestii wspólności czy też odmienności pochodzenia tych wyrazów, zresztą nie dysponuje środkami do zbadania tych spraw.

Określenie relacji między wieloznacznością a homonimią jest bardziej interesujące na gruncie koncepcji homogenicznej; koncepcja heterogeniczna upraszcza tę relację: ustalenie etymologii wyrazu rozstrzyga sprawę ewentualnej homonimiczności w każdym badanym wypadku. Przyjęcie koncepcji homogenicznej wymaga jednak opracowania mniej lub bardziej obiektywnych kryteriów rozgraniczenia wieloznaczności i homonimii. Takie kryterium było w trakcie licznych dyskusji nad homonimicznością niejednokrotnie proponowane. Zwracano mianowicie uwagę na to, że nie tylko homonimy heterogeniczne, lecz także homogeniczne mają różną łączliwość, zarówno w aspekcie leksykalnym, jak i składniowym, oraz dają początek odmiennym procesom słowotwórczym. Mówiono również

⁶ Poprosiłem niedawno znajomego o wyjaśnienie, dlaczego synonimy wyrazów tak odległych znaczeniowo, jak *gleba* i *doniosłość*, znaczenie brzmią jednakowo, mianowicie: *rola*. Sprawa jest jasna — odpowiedział znajomy — chodzi o to, że *rola* (*doniosłość*) roli (*gleby*) dla ludzkości jest bardzo wielka. Stąd przeniesienie nazwy *gleby*, ziemi uprawnej, na *doniosłość*. Koncepcja ta (wypowiedziana przez mego znajomego z przymrużeniem oka) dowodzi ogromnych możliwości „naiwnej etymologii”.

o tym, że homonimy należące do jednej pary czy grupy homonimicznej mają zupełnie różne synonimy czy antonimy. Z tych faktów językowych wyprowadzono wniosek, że te właśnie leksykalne, składniowe, etymologiczne odrębności pozwalają na odróżnienie homonimów homogenicznych od wyrazów wieloznacznych. Wniosek ten uważam za błędny, a co za tym idzie, powyższe kryterium homonimiczności — za zawodne. Chodzi o to, że te same zjawiska językowe łączą się z używaniem wyrazów wieloznacznych w różnych znaczeniach i nie stanowią bynajmniej *differentia specifica* homonimów. Posłużmy się tylko jednym, lecz — jak sądzę — wymownym przykładem.

Głowa jest wyrazem wieloznacznym, ale nikt — z wyjątkiem tych chyba językoznawców, którzy w ogóle negują polisemię na rzecz homonimii — nie traktuje *głowy* w jednym znaczeniu jako homonimu w stosunku do *głowy* w innym znaczeniu. A przecież, gdy mówimy o mądrej czy też ciasnej głowie, mamy na myśli głowę jako siedlisko myśli ludzkich, a nie głowę cukru czy głowę kapusty. Mówimy: *On ma kapelusza na głowie* (głowa jako nazwa części ciała człowieka), ale w zupełnie innym znaczeniu używamy nie tylko rzeczownika *głowa*, lecz i przyimka *na*, gdy mówimy: *Na głowie państwa spoczywają liczne obowiązki*. Z wyrażeniem *głowa państwa* w ogóle nie można użyć przyimka *w* (w podstawowym znaczeniu znajdowania się wewnątrz czegoś). Tegoż przyimka *w* w tym znaczeniu można użyć z wyrazem *głowa* w znaczeniu części ciała (np. *W głowie rannego tkwi kula*). *Głowie się* jest derywatem od *głowy* w znaczeniu «siedlisko myśli», a nie od *głowy* w jakimkolwiek innym znaczeniu. Natomiast *pogłowie* jest derywatem wyłącznie od *głowy* jako nazwy przedniej części ciała zwierzęcia. *Zwierzchnik* jest synonimem *głowy* w wyrażeniu *głowa państwa* czy *głowa rodu*, a nie *głowy* w związku *głowa Jana*. Wreszcie w wyrażeniu *od stóp do głów stopa* jest antonimem *głowy* jedynie w znaczeniu «górną część ciała człowieka». Takich przykładów można przytaczać bez liku.

Niektórzy spośród autorów głoszących, że homonimy to jednobrzmiące wyrazy różniące się swą łączliwością leksykalną i syntaktyczną oraz swym miejscem w procesach słowotwórczych, zdają sobie sprawę z tego, że takie podejście ogromnie rozszerza zakres homonimii, znosząc faktycznie różnicę między nią a wieloznacznością, i godzą się na to. Według mnie różnica między wieloznacznością a homonimią powinna być w pełni zachowana. Wynika stąd, że należy szukać nie sposobów pochłonięcia wieloznaczności przez homonimie, lecz raczej takich kryteriów rozgraniczenia, które by odzwierciedlały koegzystencję tych zjawisk językowych. W niniejszym artykule omówię niektóre spośród takich kryteriów. Najpierw jednak powinniśmy uściślić definicję głoszącą, że homonimy są to jednobrzmiące wyrazy o całkowicie różnym znaczeniu. Co to znaczy *całkowicie różne znaczenie*? Nie znaczy to bynajmniej, że desygnaty homonimów nie mają w ogóle cech wspólnych: jakieś cechy wspólne możemy

odnaleźć u wszystkich dających się pomyśleć przedmiotów. O całkowicie różnych znaczeniach możemy mówić zawsze wtedy, gdy jest zupełnie nieprawdopodobne, ażeby pewien wyraz uzyskał dodatkowe znaczenie w drodze przeniesienia tego wyrazu na określoną klasę innych przedmiotów. Tak np. książki i armaty mają co najmniej dwie cechy wspólne: są rzeczami (ciałami fizycznymi) i są wytworami rąk ludzkich. Jest jednakowoż niesłychanie mało prawdopodobne, aby na podstawie tych wspólnych cech wyraz *książka* był przeniesiony na klasę przedmiotów *armaty* (innymi słowy, aby armaty były nazwane *książkami*) lub wyraz *armata* na klasę przedmiotów *książki*.

Zastanówmy się obecnie, jakie drogi mogą prowadzić w naturalnym rozwoju języków etnicznych do powstawania par lub grup homonimicznych.

I. Wyraz będący nazwą przedmiotów pewnej klasy zostaje przeniesiony na przedmioty innej klasy na podstawie wspólności cechy obu przedmiotów. Następnie ten sam wyraz zostaje przeniesiony z drugiej klasy przedmiotów na klasę trzecią — na podstawie innej cechy wspólnej (której nie ma przedmiot pierwszy), przysługującej przedmiotom drugiemu i trzeciemu; w ten sposób dany wyraz staje się nazwą przedmiotów trzech klas. Może zdarzyć się później, że przedmioty będące środkowym ogniwem łańcucha — wskutek zmian w procesach wytwórczych lub z innych przyczyn — przestają istnieć bądź tracą nazwę. Wyraz, który pozostaje nadal nazwą dwóch różnych przedmiotów, rozpada się tym samym na parę homonimiczną. Rozpad następuje dlatego, że przedmioty pierwszy i trzeci nie mają cech wspólnych, na których podstawie mogłoby zajść bezpośrednie przeniesienie nazwy z klasy pierwszej na trzecią, czyli nazwy przedmiotów tych dwu klas mają całkowicie różne znaczenia. Ponieważ brzmienie tych nazw jest jednakowe, są one homonimiami.

Przykład. Niemiecki wyraz *der Stock* oznacza kij, laskę, belkę. W średniowieczu nazwą tą oznaczano również szkielet poszczególnej kondygnacji nowo wznoszonego domu, dlatego że się składał z belek. Następnie jednak owe szkielety obmurowywano, a nazwę *Stock* przeniesiono z kolei na kondygnację, piętro gotowego już domu. Gdy po jakimś czasie wyraz *Stock* jako nazwa drewnianego szkieletu domu wyszedł z użycia, pozostał on z jednej strony jako nazwa kija, z drugiej zaś — jako nazwa piętra domu (pomijamy tu inne jeszcze znaczenia tego wyrazu). Jest rzeczą oczywistą, że podobieństwo (wspólna cecha) pojedynczej belki i składającego się z belek szkieletu kondygnacji budynku polega na czym innym aniżeli podobieństwo (wspólna cecha) drewnianego szkieletu kondygnacji i gotowej kondygnacji. Wynika stąd, że gdy *Stock* w znaczeniu pośrednim (szkieletu kondygnacji) wyszedł z użycia, *Stock* jako nazwa kija oraz *Stock* jako nazwa piętra stały się parą homonimiczną.

O analogicznych przekształceniach wyrazów *kula* i *pióro* w języku polskim mówiliśmy w artykule *O pojęciu wieloznaczności „łańcuchowej”* („Poradnik Językowy”, nr 5 z 1969 r.).

II. Na podstawie wspólnej cechy przenosimy dany wyraz wieloznaczny odnoszący się w swym pierwszym znaczeniu do pewnej klasy przedmiotów na nową klasę przedmiotów. Od tego wyrazu w jego znaczeniu pierwszym i drugim tworzą się — w naturalnym procesie słotwórczym — dwa jednobrzmiące derywaty. Jednakże desygnatów tych derywatów nie łączy wspólna cecha, co może być w sposób niewątpliwy sprawdzone. W tych warunkach oba derywowane wyrazy są homonimami.

Przykład. Wyraz *wyciągać* znaczy — w znaczeniu podstawowym — «ciągnąć, wydobywać, wyjmować skąd, z czego» (SJP Dor, t. IX, s. 1431). Od *wyciągać* w tym znaczeniu istnieje derywat *wyciąg* oznaczający «urządzenie [...] służące do podnoszenia towarów lub osób z jednego poziomu na inny [...]» (op. cit., t. IX, s. 1430). W przekładzie na język niemiecki *wyciągać* to tyle, co *ausziehen*. Jednak wyraz *ausziehen* — oprócz znaczeń odpowiadających polskiemu *wyciągać* — ma również znaczenie «wypisać jakiś tekst z książki lub dokumentu». Otóż w języku niemieckim powstał derywat od *ausziehen* w powyższym znaczeniu: *der Auszug*; analogicznie w języku francuskim: *extraire* — *extrait*, w angielskim: *extract* (czasownik) — *extract* (rzeczownik). Kalka z niemieckiego *Auszug* w języku polskim brzmi *wyciąg* i oznacza — jak podaje *Słownik języka polskiego* pod redakcją prof. Doroszewskiego — «przepisany fragment jakiegoś tekstu, wypis» (*ibidem*).

W jaki sposób doszło we wspomnianych przed chwilą językach do przeniesienia nazwy *wyciągać* (*wyciągnąć*) z czynności polegającej na wydobyciu rzeczy z jakiegoś środowiska, na czynność, która polega na wypisaniu części jakiegoś tekstu? Przeniesienie nazwy odbyło się na podstawie pewnego podobieństwa rezultatów obu tych czynności: w wyniku każdej z nich jakiś przedmiot materialny zostaje umieszczony w nowym miejscu. Co prawda, sposób tego umieszczenia jest różny. W pierwszym wypadku pewna rzecz zostaje fizycznie przemieszczona w nowe środowisko. W drugim wypadku natomiast tekst „wyciągnięty” (wypisany) zostaje tam, gdzie był dotychczas, a w nowym miejscu ukazuje się rzecz przedtem nie istniejąca, a mianowicie wypis, będący kopią tej części tekstu. Rezultaty jednak obu czynności są, jak powiedzieliśmy, w jakimś stopniu podobne, a to podobieństwo rezultatów jest ową wspólną cechą, na której podstawie nastąpiło przeniesienie nazwy z jednej grupy czynności na inną. Nie ma natomiast i nie może być tej wspólnej cechy wyciągu jako «podnośnika» oraz wyciągu jako «wypisu». *Wyciąg* «podnośnik» i *wyciąg* «wypis» są to zatem jednobrzmiące wyrazy (powstałe jako derywaty od jednego wyrazu użytego w różnych znaczeniach), których desygnaty nie mają żadnej wspólnej cechy, mogącej stanowić podstawę do przeniesie-

nia nazwy z klasy desygnatów *wyciągu* w znaczeniu pierwszym na klasę desygnatów *wyciągu* w znaczeniu drugim. Mamy więc do czynienia z parą homonimiczną.

Analogicznymi parami homonimicznymi, utworzonymi od czasownika w różnych znaczeniach, są *zamek* «urządzenie do zamykania drzwi» i *zamek* «budowla obronna», *zawód* «profesja» i *zawód* «rozczarowanie» oraz wiele innych.

Czy są — w świetle powyższego kryterium — homonimami czy też egzemplarzami wyrazu wieloznacznego pary wyrazowe *źniwiarka* — nazwa maszyny i *źniwiarka* — nazwa kobiety, *narciarka* — nazwa kobiety i *narciarka* — nazwa czapki? Człony tych par są derywatami, bezpośrednimi lub pośrednimi, od pewnego wspólnego wyrazu macierzystego (*źniwiarka* w obu znaczeniach od wyrazu *źniwo*, *narciarka* w obu znaczeniach od wyrazu *narty*). Wyraz macierzysty, dając początek owym derywatom, występuje w tym samym znaczeniu, nie zaś w różnych znaczeniach, jak to miało miejsce w przed chwilą rozpatrzonym wypadku, gdy jako podstawa słowotwórcza występował wyraz *wyciągać*. Jeżeli tak, to człony powyższych par wyrazowych nie są homonimami, lecz egzemplarzami jednego wyrazu wieloznacznego, gdyż musiały odziedziczyć wspólne elementy znaczeniowe po wspólnym „przodku” w językowym drzewie genealogicznym. I to się chyba zgadza z powszechnym wyczuciem językowym, rzadko kto bowiem uzna, że np. nazwa maszyny koszącej zboże i jedno-brzmiąca nazwa to samo robiącej kobiety są sobie znaczeniowo obce.

Ale tak jest jedynie w wypadku przyjęcia semantycznej (homogenicznej) koncepcji homonimów. Przy koncepcji etymologicznej (heterogenicznej) kwestia powyższa może być rozstrzygnięta na dwa sposoby, w zależności od pojmowania terminu *etymologia wyrazu*. Zwolennicy koncepcji umiarkowanej etymologicznej dopatrują się w wspólnej etymologii wszystkich form pochodzących od tej samej podstawy słowotwórczej, niezależnie od przebiegu procesu derywacji, a w wypadku, gdy formy te mają jednakowe brzmienie, traktują je jako egzemplarze jednego wyrazu wieloznacznego, a nie jako homonimy. Takie właśnie stanowisko zajmuje *Słownik języka polskiego* pod red. prof. W. Doroszewskiego.

Zgodnie z koncepcją skrajnie etymologiczną człony wyżej przytoczonych i im podobnych par wyrazowych mają — mimo wspólnej podstawy słowotwórczej — odrębną etymologię, a to ze względu na odmienny w każdym wypadku przebieg procesu derywacyjnego (np. *źniwiarka* jako nazwa maszyny — derywat bezpośrednio od *źniwo*; *źniwiarka* jako nazwa kobiety — derywat od *źniwiarz* i dopiero pośrednio od *źniwo*). Jedno-brzmiące wyrazy o odmiennej etymologii są w świetle każdej koncepcji etymologicznej *ex definitione* homonimami.

III. Zajmiemy się obecnie trzecim sposobem powstawania homonimów homogenicznych. Założmy istnienie wyrazu o bardzo szerokim zakresie

i nader ubogiej treści sprowadzającej się do oznaczania pewnej cechy przysługującej wielu różnorodnym przedmiotom. W tych warunkach bezpośrednie lub pośrednie derywaty tego wyrazu, jeśli są jednobrzmiące, a przy tym powstały niezależnie od siebie — są homonimami, desygnaty ich bowiem mają jedynie wspólną cechę, którą „odziedziczyły” po desygnatach wyrazu wyjściowego, a to jest za mało do przeniesienia nazwy bezpośrednio z derywatu pierwszego na drugi.

Przykład. Polski wyraz *stać* w jednym ze swych znaczeń, a mianowicie w znaczeniu «trwać w pozycji nieruchomej» ma niezmiernie szeroki zakres. Cecha trwania w nieruchomej pozycji może być w zasadzie przypisana każdemu dającemu się pomyśleć przedmiotowi, tak samo zresztą jak jedyna cecha jej przeciwstawna, a mianowicie cecha ruszania się, zmiany. Wyraz *stać* ma w języku polskim wielką liczbę derywatów (podobnie jak kalki tego wyrazu w innych językach etnicznych), przy czym derywaty te brzmią jednakowo, choć wytworzyły się w różny sposób ze wspólnej podstawy słowotwórczej. Porównajmy ze sobą wyraz *stan* (nazwa formy istnienia przedmiotu), *stan* (nazwa jednostki administracyjno-terytorialnej) oraz *stan* (nazwa części sukni). Porównajmy również ze sobą wyrazy *statek* (jako synonim *stałości*, *niezmienności*, *wierności*) oraz *statek* (jako nazwa konstrukcji pływającej). Porównajmy wreszcie ze sobą wyrazy *staw* (nazwa zbiornika wody) oraz *staw* (nazwa części ciała człowieka). Co wspólnego ze sobą mają znaczenia owych jednobrzmiących par czy grup wyrazowych? Jedynie to, co im przekazała wspólna podstawa słowotwórcza, a mianowicie różnie zresztą rozumianą cechę ich desygnatów polegającą na trwaniu we względnej nieruchomości. Wspólność ta jest jednak zbyt nikła, aby np. nazwa jednostki administracyjno-terytorialnej mogła być przeniesiona na część ubioru damskiego, nazwa *stałości* uczuć na konstrukcję pływającą, a nazwa zbiornika wodnego na część ciała ludzkiego. Skoro zaś przeniesienie nazwy z przedmiotów jednej na przedmioty innej klasy nie mogło nastąpić (mówiąc ściślej: prawdopodobieństwo, ażeby takie przeniesienie nastąpiło, było znikomo małe), jednobrzmiące nazwy przedmiotów obu (czy większej liczby) klas są h o m o n i m a m i. Toteż homonimami są trzy wyrazy *stan*, dwa wyrazy *statek* oraz dwa wyrazy *staw*, których znaczenia podaliśmy przed chwilą.

*

Opisaliśmy pokrótce trzy modele tworzenia się homonimów homogenicznych w języku. Jedynie pierwszy z nich polega na rozpadzie wyrazu wieloznacznego i jego przeobrażeniu się w parę (grupę) homonimiczną. W dwóch pozostałych jednobrzmiące i mające wspólne pochodzenie wyrazy są homonimami już w chwili ich pojawienia się w języku. Modeli takich jest z pewnością więcej, i sprawa warta jest dalszych badań. Ważne jest chyba to, że znając drogi, które prowadziły (i nadal prowadzić mogą) do powstawania homonimów, można w znacznym stopniu zredukować

subiektywizm w bardzo istotnej kwestii odróżniania par czy grup homonimicznych od wyrazów wieloznacznych. Homonimia stawia lingwistę wobec mnóstwa zagadnień, tak wewnątrz danego języka, jak i w badaniach porównawczych w skali kilku języków. Ani etymologiczna, ani semantyczna koncepcja homonimii nie wyczerpały jeszcze swych możliwości. Konkurencyjność obu koncepcji może przyczynić się do wzbogacenia i pogłębienia badań. Należy sobie życzyć rychłego pojawienia się w polskiej literaturze lingwistycznej dalszych pozycji poświęconych zarówno teoretycznym kwestiom homonimii, jak i poszczególnym, a jeszcze niedostatecznie zbadanym, jej przypadkom.

MIEJSCE I ROLA GWAR ŚRODOWISKOWYCH W ROZWOJU JĘZYKA NARODOWEGO

Próba określenia miejsca i roli gwar środowiskowych w rozwoju języka ogólnopolskiego jest zadaniem trudnym i złożonym. Wpływają na to znaczne rozbieżności w sądach językoznawców polskich co do podziału języka narodowego na jego wewnętrzne odmiany i wzajemnych stosunków zachodzących między tymi odmianami, a w związku z tym rodzące się kontrowersje w sferze terminologiczno-pojęciowej. W celu przykładowego tylko naświetlenia owych rozbieżności przedstawię stanowisko zajęte przez Zenona Klemensiewicza w rozprawie *O różnych odmianach współczesnej polszczyzny*¹, będącej podsumowaniem toczącej się na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych dyskusji nad genezą polskiego języka literackiego, oraz poglądy Stanisława Urbańczyka zawarte w artykule pt. *Rozwój języka narodowego. Pojęcia i terminologia*² — o charakterze polemicznym w stosunku do rozważań Klemensiewicza, a przy tym również syntetyzującym wyniki owej dyskusji.

Z przedstawionych przez obu badaczy schematów, ilustrujących podział współczesnego języka narodowego na jego wewnętrzne odmiany, wynika, że zasadnicze różnice zarysowują się w umiejscowieniu języka potocznego, który — zdaniem Klemensiewicza — bazuje na języku ogólnym, natomiast według Urbańczyka wywodzi się z języków: „kulturalnego mówionego” i „pisanego (literackiego)”, co jest trudne do przyjęcia. Błędne jest też rozpatrywanie języka potocznego (zresztą i większości pozostałych odmian) w oderwaniu od wielu innych odmian językowych, a zwłaszcza od dialektów terytorialnych i środowiskowych oraz gwar miejskich.

Najwięcej sprzecznych opinii uwidacznia się w poglądach obu wybitnych językoznawców na miejsce i rolę gwar środowiskowych (zawodowych) i miejskich w rozwoju języka narodowego, co nie pozostało bez wpływu na stosowanie wobec tych odmian języka niewłaściwej zazwy-

¹ Z. Klemensiewicz: *O różnych odmianach współczesnej polszczyzny*, Warszawa 1953 (przedruk w tomie „W kręgu języka literackiego i artystycznego”, Warszawa 1961).

² S. Urbańczyk: *Rozwój języka narodowego. Pojęcia i terminologia*, „Szkice z dziejów języka polskiego”, Warszawa 1968.

czaj terminologii. Klemensiewicz gwara miejską wywodzi z języka ogólnego, wyodrębniając ją przy tym wyraźnie jako odmianę. Wg S. Urbańczyka gwary miejskie powstają na styku „języka mówionego (kulturalnego)” i dialektów terytorialnych nie bez pewnego udziału „żargonów”: „Mówią nimi ludzie — pisze on — którzy bezpośrednio przenieśli się do miasta lub ich bezpośredni potomkowie, którzy nie otrzymali średniego wykształcenia. Gwara miejska przechowuje różne właściwości fonetyczne, fleksyjne, leksykalne najbliższej gwary chłopskiej, ale również przyjmuje szereg właściwości z języka ogólnego, z «żargonu» zaś luźne wyrazy”³.

Taki pogląd wydaje się niesłuszny, gdyż pomija się tutaj bardzo ściśle wzajemne związki zachodzące między gwarami miejskimi a językiem potocznym oraz innymi odmianami języka narodowego; nie docenia się w najmniejszym nawet stopniu wpływu innych — poza językami tajnymi — gwar środowiskowych.

Zdaniem Klemensiewicza gwary zawodowe rozwijają się na podłożu gwar miejskich i dialektów terytorialnych w „izolowanych grupach społecznych, określonych wspólnymi interesami i wspólną działalnością zawodową [...]”⁴. „Zawodowa odmiana języka jest fakultatywna i marginesowa — osobnik posługuje się nią tylko w pewnym środowisku, tylko w pewnych okolicznościach, tylko w ograniczonym czasie: poza tym mówi językiem ogólnym lub regionalnym zależnie od wykształcenia oraz socjalnego i terytorialnego pochodzenia”⁵. Cechą najbardziej odróżniającą języki zawodowe od ich języka podstawowego jest według Klemensiewicza słownictwo, a ściślej wycinek słownictwa, na który składa się terminologia zawodowa oraz metaforyka i semantyka zawodowa. System gramatyczny języków zawodowych jest bowiem w zasadzie ten sam co języka ogólnego, a ściślej potocznego. Zastrzeżenia budzi tutaj wskazane umiejscowienie gwar środowiskowych (zawodowych), które w swej istocie są odmianą odrębną w stosunku do dialektów terytorialnych, aczkolwiek zaznaczają się między nimi wzajemne powiązania. Szczególnie ściśle związki łączą jednak gwary środowiskowe z językiem potocznym, a zwłaszcza z opierającą się również na nich gwarą miejską. Niesłuszne wydają się także twierdzenia o fakultatywności i marginesowości wszystkich gwar środowiskowych (o czym będzie mowa niżej) oraz orzekanie o ich sztuczności na tej tylko podstawie, że: „Zarówno terminologia zawodowa jak użycie wyrazów potocznych w innych znaczeniach jest rezultatem refleksyjnej, umyślnej i umownej działalności językowej użytkowników języka zawodowego i gwary zawodowej, co stanowi o większym lub mniejszym stopniu ich sztuczności”⁶.

³ S. Urbańczyk: *op. cit.*, s. 29.

⁴ Z. Klemensiewicz: *op. cit.*, s. 38.

⁵ *op. cit.*, s. 39.

⁶ *op. cit.*, s. 40—41.

Z powodu funkcjonalnej fakultatywności i marginesowości gwar zawodowych, a także ze względu na fakt, że wykorzystanie ich ograniczone jest do niewielkich grup zawodowych — Klemensiewicz traktuje gwary owe jako odmiany p o d r z ę d n e języka w stosunku do tak zasadniczych jak język artystyczny, naukowy, normatywno-dydaktyczny, a także regionalna gwara miejska lub wiejska. Posługując się jednak argumentacją tegoż autora na odparcie jego twierdzeń można wskazać, że np. język naukowy, zwłaszcza w zakresie niektórych dyscyplin (np. matematyki) może wystąpić również w funkcji „fakultatywnej”, a przy tym z uwagi na swoje właściwości jest skierowany tylko do wąskiego grona odbiorców.

Zastrzeżenia budzi również podział zaproponowany przez S. Urbańczyka, który gwarom środowiskowym odmawia prawa do jakiegokolwiek odrębności, określając je terminami *słownictwo zawodowe* albo *terminologia zawodowa*. Języki tajne, a zwłaszcza język przestępców określa deprecjonującym terminem *żargon* i w ogóle wyklucza je poza nawias języka narodowego: „Jego użytkownicy — pisze — z całą świadomością stawiają się poza tym językiem przez to samo, że nie chcą być rozumiani”⁷.

Przyczyną tego błędnego wniosku jest uznanie żargonu ochweśnickiego za typowego reprezentanta języka przestępców. Z. Urbańczyk cytuje fragment stylizowanego tekstu z wyrazami pochodzenia obcego, zaczerpnięty z książki W. Budziszewskiej „Żargon ochweśnicki”⁸. Gwoli ścisłości trzeba zaznaczyć, że żargon ochweśnicki, jakkolwiek w dużym stopniu opiera się na słownictwie złodziejskim, nie wchodzi w zakres języka przestępców. Jednocześnie Z. Urbańczyk niezbyt wyraźnie pokazuje wzajemne powiązanie języków tajnych z językiem narodowym oraz z dialektami terytorialnymi i gwarami miejskimi.

Z poglądów innych uczonych wskazać trzeba na bardzo trafne spostrzeżenie J. Baudouina de Courtenay, który podział na dialekty terytorialne i socjalne uważał za poziomy i pionowy⁹.

Kwestie te w sposób jasny i przejrzysty naświetlił Bronisław Wieczorkiewicz. Zdaniem tego badacza, gwary środowiskowe, a w tym również język przestępców powinny być traktowane na równi z innymi odmianami języka narodowego jako „gwara prostego człowieka”, odzwierciedlająca siłę mas, ich krytyczny stosunek do życia i otaczających nas zjawisk, inteligencję, a niekiedy i zdecydowaną postawę wobec przemocy¹⁰. Takie spojrzenie na gwary środowiskowe uzasadnia zatem B. Wieczorkiewicz względami społecznymi i historycznymi, ale także językoznawczymi.

⁷ S. Urbańczyk: *op. cit.*, s. 28.

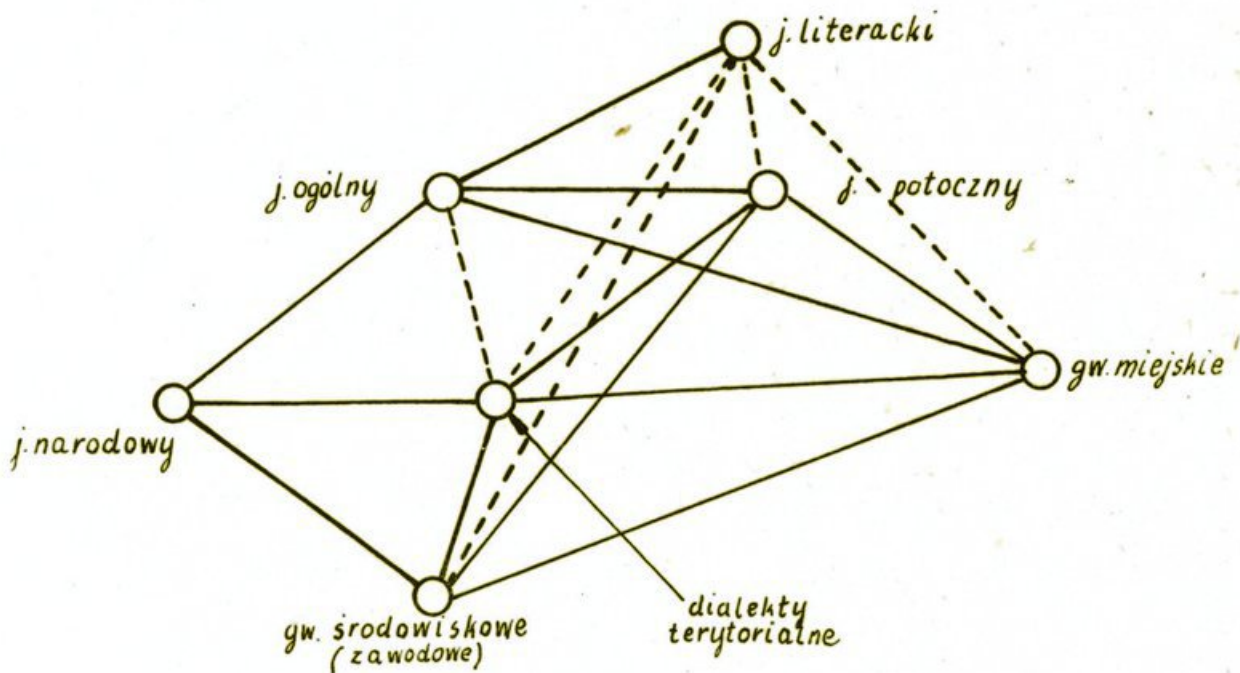
⁸ W. Budziszewska: „Żargon ochweśnicki”. ŁTN, Łódź 1957 r.

⁹ Baudouin de Courtenay: Wstęp do „Błatnoj muziki” P. F. Trachtenberga. Petersburg 1908, s. XII.

¹⁰ B. Wieczorkiewicz: *O języku Wiecha i tak zwanych wiechizmach*, „Przegląd Humanistyczny” 1959 r., nr 6 (15), s. 38—40.

W tym świetle gwary środowiskowe jako jedna z równorzędnych odmian języka narodowego spełniają istotną rolę w jego rozwoju i podobnie jak dialekty terytorialne powinny być wykorzystywane do objaśniania wielostronnego i pełniejszego wielu procesów i zjawisk językowych, gdyż wypełniają lukę w języku narodu, ukazują często nowe, nieznane dotąd sfery i dziedziny jego życia, a z uwagi na emocjonalny, ekspresywny charakter słownictwa — wpływają na wzbogacanie nie tylko języka potocznego, ale także literackiego i artystycznego.

Na zakończenie przedstawiam próbę własnego, najogólniejszego schematu podziału współczesnego języka ogólnopolskiego na odmiany, ze szczególnym uwzględnieniem równorzędnego, należnego gwarom środowiskowym miejsca i podkreśleniem właściwej ich roli w rozwoju języka narodowego.



Badaniom gwar środowiskowych musi być przywrócona właściwa,oczesna ranga, bo jak dotąd odsądzane bywały nierzadko „od czci i wiary” (zwłaszcza języki tajne) przez badaczy, dla których w samej rzeczy pozostały dziedziną mało znaną, jeśli nie obcą.

GRYPSERA

Autor występujący pod pseudonimem „Michał Lewandowski” napisał książkę pt. „Po wyroku”¹. Próbuje wykazać, że za więziennym murem są zabójcy, bandyci, podpalacze, kryminaliści i inni przestępcy, którzy przecież nie przestali być zwyczajnymi ludźmi. Stara się dotrzeć do ich dusz i wydobyć na światło dzienne okruchy prawdy psychologicznej.

W naszych więzieniach dużo się zmieniło. Podjęto wiele inicjatyw, aby je przekształcić z zakładów wyłącznie karnych w zakłady wychowawczo-karne, lecz mimo procesu humanitaryzacji kary pozbawienia wolności „więzienie jest i pozostanie miejscem przerażającym, miejscem nie do życia dla człowieka, wrogiem ludzkiej istocie”². Nie do podważenia są słowa autora „Po wyroku”, że „człowiek rodzi się do wolności i tylko w wolnym życiu społecznym może się realizować”. I dalej stwierdza, że człowiek zamknięty w klatce parszywieje: „dobre cechy własnego charakteru, których konstatacja jest tak krzepiąca w osamotnieniu, schodzą w cień. Z przerażeniem widzisz, że coraz bardziej biorą w tobie górę złe, destrukcyjne emocje i postawy: bunt, przekora, pogarda dla współtowarzyszy, złośliwość, hurtowa relatywizacja lub wręcz negacja norm wyższej moralności, pochwała obłudy i cynizm, służalstwo, kult prymitywnego cwaniactwa. Wszystko to szerzy się i postępuje na zasadzie zwierciadlanego odbicia w tłoku cel, który stwarza idealne warunki dla wzajemnych negliżów psychicznych — często z pogranicza ekshibicji — i budzącej odrazę psychicznej osmozy”³.

Więźniowie więc to ludzie społecznie zdegradowani, wyrzuceni poza nawias przyrodzonej im społeczności, tworzą zamknięty świat, rządzący się swoimi prawami. Fason, obyczajowość więzienna nakazuje im posługiwać się *g r y p s e r ą* lub *k m i n ą*, czyli gwara więzienną⁴. W książce Lewandowskiego gwara ta występuje obficie, prawie na każdej stronicy. Stanowi ona interesujące odbicie przeżyć psychicznych skazanych, ich stosunku do otaczającej rzeczywistości i poglądu na życie. Próbką tej gwary może być następująca wypowiedź: „Atanda! Binie knają do tyrki.

¹ Michał Lewandowski: „Po wyroku”, Czytelnik, Warszawa 1971.

² *Op. cit.*, s. 137.

³ *Op. cit.*, s. 138.

⁴ Por. Stanisław Milewski: *Gwara przestępcza i jej przenikanie do języka ogólnego*, „Poradnik Językowy” 1971, z. 2, s. 92.

Przyfiluj, jak ta czacza biksuje tym czerwonym szpancerkiem! Ale niekiepskie witki wiatrzy!" («Uwaga! Kobiety idą do pracy. Popatrz, jak ta dziewczyna kokietuje tym czerwonym wdziankiem! Ale ma zgrabne nogi!») — s. 45.

„Cała nie znajdująca naturalnego ujścia aktywność życiowa ludzi pozbawionych wolności — pisze Lewandowski — eksploduje tu słowami”⁵. Dwie grupy więźniów posługują się najchętniej odmiennym słownictwem i specjalną frazeologią: *małolatka* i *recydywa*.

Oto garść przykładów wybranych z kart omawianej książki, uszeregowanych w grupach tematycznych:

LUDZIE

Apropak «półinteligent, manifestujący przesadnymi manierami i wymową swoją wyższość i odrębność w środowisku więziennym»: „Takich ludzi nazywa żargon więzienny *apropakami* [...]” (od nadużywania wyrażenia *à propos*) (27).

Charakterniak «człowiek odważny, honorowy, z charakterem»: „[...] uważa ciebie za *charakterniaka*” (131).

Chwiej «frajer (zabarwienie bardziej pejoratywne)»: „A ten *chwiej* zaczyna huczeć [...]” (129).

Cykoriant «człowiek tchórzliwy»: „Musiał być niekiepski *cykoriant*, bo się w sekundę zmył [...]” (130).

Długoterminowiec «więzień odsiadujący karę wieloletniego więzienia»: „[...] *długoterminowcy* cały w zasadzie wyrok, poza krótką końcówką, odbywają w tej podgrupie” (80).

Dolator «wspólnik przestępcy»: „[...] dyro jest *dolatorem*” (131).

Farmazonista «oszust»: „[...] nie ma i nie może być żadnej wspólnoty, żadnej więzi pomiędzy *popaprańcem* [...] a prawdziwym, charakternym złodziejem zawodowym czy *farmazonistą*” (123).

Frajerstwo «karani po raz pierwszy»: „Nie ma lotów z tym *frajerstwem* [...]” (73).

Herbatnik «wspólnik z komuny żywnościowej w więzieniu»: „Zbawienny wpływ ma na niego jego *herbatnik* [...]” (15).

Harpagan «więzień przekraczający normy produkcyjne»: „Tych pracowników nazywa się w żargonie *harpaganami*” (56).

Jarecka «matka»: „*Jarecka* ucieszona” (127).

Jarecki «ojciec»: „Kumpel mojego *jareckiego*” (127).

Kajfus «więzień-posługacz korytarzowy, kalifaktor»: „[...] *kajfusie*, twój obowiązek kotły nosić, a nie ludzi zamykać” (19).

Klajniak «dziecko»: „[...] byłem taki *klajniak* wśród nich [...]” (124).

Kot «chory psychicznie»: „Zwany za plecami świrem, *kotem* lub *kocurem*” (15).

Krótkoterminowiec «skazany z krótkim wyrokiem»: „[...] ci *krótkoterminowcy* nie bardzo umieją i chcą szanować swój spokój [...]” (12).

Lampucera «kobieta»: „A ty swojej *lampuczerze* licznik na ... założyłeś [...]” (118).

Małolatka «więźniowie młodociani»: „Przedrzeźnia się ich (zwłaszcza *recydywa* i *małolatka*) kilkoma zwyczajowymi zdaniami [...]” (27).

Nierób «więzień nie pracujący»: „[...] obdarza się nimi *nierobów*” (132).

Parówa «homoseksualista»: „To przecież *parówa* od samego urodzenia [...]” (118).

Papuga «adwokat»: „*Papuga* założy rewizję [...]” (23).

Pęlgacz «kłamca, człowiek niesumienny»: „Takich ludzi żargon więzienny nazywa [...] *rzadziej pęlgaczami*” (27).

⁵ Op. cit., s. 101.

Popapraniec 1. «przestępca amator», 2. «fuszer», 3. «mający krótki wyrok», 4. «mazgaj»: „To nie *popapraniec*, to prawdziwy, charakterny cwaniak” (14).

Rygorowiec «więzień obostrzonego rygoru»: „[...] obserwuje się wielkopańskie kopsanie przez więziennych weteranów większych petów pokornie czekającym *rygorowcom*” (78).

Swir — p. kot: „Toteż ogół uważa nierobów za nienormalnych, za szajby czy *świrów*” (52).

Tufta « prostytutka »: „[...] tylko przyfiluj jak biksuje w chodzie: jak stara *tufta* skazana na ciemne ulice” (118).

Zgredzik (zdr. od *zgred*) «więzień mający powyżej 21 lat»: „*Zgredziku, zgredzik* kopsnie chociaż z pół szłuźka [...]” (33).

Złota recydywa «elita środowiska recydywistów»: „Kilku recydywistów z klasy *złotej recydywki*, a więc wiarogodnych, opisywało mi szczegółowo jadłospis więzienny [...]” (40).

CZYNNOŚCI

Bastować «zaprzestać»: „Mówię z mety: *bastuj*, idę do roboty” (127).

Biksować «kokietować»: „[...] tylko przyfiluj jak biksuje w chodzie [...]” (118).

Filować «patrzyć».

Garować «leżeć w łóżku»: „[...] wszyscy na ogół idą do koja i *garują* aż do zgaszenia światła” (11).

Giercować «grać»: „*Giercujem* na szłuźki [...]” (64).

Haftować «wymiotować»: „*Haftować* na takie życie [...]” (127).

Haltować «zamykać»: „*Zahaltuj* szamot” (47).

Herbatnikować «prowadzić wspólne gospodarstwo, komunę żywnościową»: „*Herbatnikują* we dwóch” (15).

Huczeć «krzyczeć»: „A ten chwiej zaczyna *huczeć* [...]” (129).

Kitrać «chować»: „Ty robisz, a oni sarmak *kitrają*” (60).

Kłować «zdobywać, brać»: „[...] kto więcej styra, *kłowi* dziekane” (64).

Knaić «iść»: „Binie *knają* [...]” (45).

Kopsnąć «dać, podać»: „[...] *zgredzik kopsnie* chociaż z pół szłuźka [...]” (33).

Nawijać «mówić, rozmawiać, opowiadać»: „Więc *nawijał* [...]” (24).

Obcinać «zauważać, widzieć»: „Cela była z kretesem *obcięta* u oddziałowych [...]” (25).

Powalić się «trafić do więzienia»: „Janusz-Teo zdążył zapewne do tego czasu *powalić się* po raz szósty [...]” (121).

Przekręcić się «umrzeć»: „[...] *przekręcam się* bez jarunku” (33).

Przyjmować się «dać się oszukać lub wykorzystać, uwierzyć»: „[...] ty się *przyjmujesz* jak małolat” (82).

Przyprawić «wypić»: „[...] *przypraw* szklanę beelwu [...]” (119).

Spadać «zejść, schodzić, odejść»: „[...] *spadamy* z koja” (29).

Szamać «jeść»: „*Szamaj* pan [...]” (96).

Wiatrzyć «mieć»: „Ale niekiepskie witki *wiatrzyć*” (45).

Zamargać «powiedzieć»: „[...] w oczy bali się *zamargać*” (128).

Znachcić «znać»: „*Znachciłem*, że ten mój opiekun musiał tam mnie twardo obstawić [...]” (128).

Zapuszczkować «wsadzić do więzienia»: „[...] *zapuszczkowali* mnie na Gęsiówce” (124).

PROCEDER PRZESTĘPCZY, WIĘZIENIE

Bonanza «awantura, bijatyka»: „Te jego wieczorne opowieści o służbie w Marwoju na trałowcu bazowym, o większych *bonanzach* [...]” (24).

Brygada słoneczko «grupa robocza porządkująca i utrzymująca w czystości te-

ren więzienia, biur i pomieszczeń administracyjnych»: „Zatrudniony w *brygadzie słoneczko* [...]” (13).

Celówka «karta ewidencyjna więźnia»: „Podgrupa jest uwidoczniiona tylko w aktach więźnia w tzw. *celówce* [...]” (75).

Chałupki «przedwojenny zakład karny dla recydywistów»: „*Chałupki* zaprowadzili jak przed wojną [...]” (121).

Damski boks «pobicie kobiety»: „Karany po raz czwarty z różnych nieważnych artykułów, ostatnio za sprawkę do śmiechu, czyli *damski boks*” (23).

Dołek «areszt milicyjny w suterenie»: „Pobyt na *dołku* Komendy Wojewódzkiej” (22).

Dziekanka «wyrok opiewający na dziesięć lat więzienia»: „[...] *dziekankę* mi dowalili” (7).

Dożywotka «kara dożywotniego więzienia»: „Kędzierzawy Heniek odsiadujący *dożywkę* [...]” (117).

Farmazon «oszustwo»: „[...] chcę jej puścić ten *farmazon* o spadku w dolarach [...]” (115).

Gigant «ucieczka nieletniego z rodzinnego domu»: „To był mój drugi *gigant* [...]” (124).

Hultajka «chuligaństwo»: „[...] karany po raz piąty za *hultajkę*” (22).

Kabaryna «cela, gdzie znajduje się twarde łóżko»: „[...] izolotka albo *kabaryna* na okres do 1 miesiąca [...]” (84).

Kiczman «więzienie»: „[...] to jest *kiczman*, nie sanatorium” (10).

Kogut «zwyżka strażnicza»: „W załamaniu muru oszklona u góry zwyżka strażnicza, zwana *kogutem*” (9).

Opewu «ośrodek pracy więźniów»: „[...] pojedę na *opewu* [...]” (120).

Pajda «wyrok»: „Kończyłem wtedy kolejną *pajdę* [...]” (126).

Przerzutka «przeniesienie z celi do celi»: „Gdy ich rozdzielią *przerzutki* lub transporty, będzie źle z kamasznikiem” (15).

Przypałka «wpadka»: „A my dwaj w razie *przypałki*, wiadomo: pójdziemy pomieszkać” (131).

Raport «zapisanie przez oddziałowego przekroczenia więźnia» (82).

Sieczkarnia «cela-poczekalnia w podziemiach sądów na Lesznie w Warszawie» (82).

Spacernik «plac spacerowy»: „[...] widać tylko pusty *spacernik*, czyli plac spacerowy [...]” (9).

Suka «samochód-więźniarka»: „Mroźnym lutowym popołudniem *suka* wypłuła mnie [...]” (21).

Transport «przewiezienie z więzienia do więzienia»: „[...] potem wyjechał w *transport* [...]” (65).

Twarde «regulaminowa kara twardego łóżka»: „[...] można za to dorobić się *twardego*” (44).

Warunkowe «warunkowe przedterminowe zwolnienie z więzienia»: „Zasługuje się, popapraniec, na *warunkowe*” (19).

Wypiska «okresowy zakup żywności, papierosów i innych artykułów codziennego użytku w więziennej kantynie». Nazwa pochodzi stąd, że towary pobiera się na uprzednio imiennie wypisany kwit: „*Wypiskę* może pobrać oczywiście tylko ten, kto posiada pieniądze na swoim koncie depozytowym [...]” (40).

CZĘŚCI CIAŁA

Baniak «głowa»: „Ja warunkowego nie dostanę, spokojny *baniak*” (132).

Chrupawy «zęby»: „[...] bo jak cię z łba zaprawię, to ci *chrupawy* wylecą [...]” (118).

Patrzałki «oczy»: „Jak moje *patrzałki* zobaczą, wtedy uwierzę” (82).

Pióra «włosy»: „[...] próbują różnych rozpaczliwych forteli dla ratowania *piór*” (79).

Szamot 1. «usta», 2. «twarz»: „[...] zahaltuj *szamot* [...]” (47).

Witka 1. «ręka», 2. «noga»: „Grypsera na *witkach*” (34); „Niekiepskie *witki wiatrzy*” (45).

JEDZENIE, PICIE, PALENIE

Beelwu «mieszanka uspokajająca». Jest to skrótowiec od *blw* = brom, luminal, waleriana: „[...] przypraw szklanę *beelwu*, przekimasz i będzie gites” (119).

Granat «kotlet mielony»: „[...] kotlet mielony zwany *granatem*” (39).

Jarunek «tytoń, papierosy, palenie»: „[...] przekręcam się bez *jarunku*” (33).

Kira «wódka»: „[...] za pojętność kopsali *służki* i *kirę*” (124).

Litraż «litr grochówki»: „W sobotę jest najczęściej obiad jednodaniowy: litr gęstej grochówki na mięsie. Nazywa się to w żargonie *litrazem* [...]” (39).

Szamka «jedzenie»: „Najlepsza *szamka* jest w więzieniach, gdzie kuchnię obsługują kobiety” (38).

Szamunek — p. *szamka*: „Twierdzą oni zgodnie: obecnie lepiej się siedzi, w ogóle nie ma porównania. Nie tylko pod względem *szamunku*” (40).

Szłużek «papieros»: „[...] zgredzik kopsnie chociaż z pół *służka* [...]” (33).

PIENIĄDZE

Dziekana «moneta 10-złotowa»: „[...] kto więcej styra, kłowi *dziekane*” (64).

Geldcug «pieniądze»: „[...] *geldcug* zarobiony liczę [...]” (130).

Koło «1000 zł»: „[...] to jest krótsza droga niż tyranie za dwa *koła* na wojtek” (131).

Melon «milion»: „Najporządniejszemu człowiekowi te pół *melona* może się jeden raz do palców przyklepić” (132).

Sarmak «pieniądze»: „Ty robisz, a oni *sarmak* kitrają” (60).

Smyk — p. *koło*: „Półtora *smyka*, plus premia, bywało lepiej z jednego *smyku* [...]” (128).

ODZIEŻ I INNE PRZEDMIOTY

Batory «wózek do rozwożenia posiłków»: „Przyjechał *Batory*” (37).

Błaszak «głośnik radiowy»: „Zahaltuj no który *szamot* temu *blaszakowi*” (90).

Kaniołka «okrągła czapka-mycka» (32).

Katana «płaszcz lub kurtka z szarego sukna» (32).

Knot «prymitywna kuchenka» (43).

Kojo «łóżko»: „Idą na *koja*” (11).

Samarka «uszyty domowym przemysłem worek na rzeczy osobiste»: „[...] ustawia się długa kolejka więźniów z *samarkami* w rękach” (41).

Wiosło «łyżka»: „Wszystko jada się jedną *łyżką*, czyli *wiosłem* [...]” (38).

FRAZEOLOGIZMY

Apel, obiad, apel, kima — *i dnia ni ma* (12).

Brać na wydrę «kradzież polegająca na wyrwaniu łupu z rąk właściciela» (122).

Chodzić po karmanach «uprawiać kradzież kieszonkową».

Dać chleba na lewo «niesłusznie oskarżyć» (130).

Huknąć w rynnę «wybuchnąć płaczem» (78).

Jak pragnę białej amnestii (130).

Jak wolność kocham (25).

Pójść pomieszkać «odsiadywać karę więzienia» (131).

- Pójść w tango* «zdradzać (w małżeństwie), bawić się, hulać» (34).
Przybudowa od tej tyrki mi wyrosła (60).
Rzucić zastawkę «publicznie wyrzec się czegoś» (128).
Ruska naragoza «ogłuszenie ciosem» (122).
Szczota-do-żywota «o chętnych do zamiatania» (10).
Wciskać ciemnotę «pleść głupstwa» (120).
Za centy każdy święty (122).
Zakładać gadułę «mówić» (127).

ZYGMUNT SALONI: BŁĘDY JĘZYKOWE W PRACACH PISEMNYCH UCZNIÓW LICEUM OGÓLNOKSZTAŁCĄCEGO. PRÓBA ANALIZY JĘZYKOZNAWCZEJ, PZWS, WARSZAWA 1971

Książka Saloniego jest pozycją dość szczególną na tle naszej dotychczasowej tradycji wydawniczej. Wprawdzie uczniowskie błędy językowe wielokrotnie były już omawiane w różnych artykułach i fragmentach większych całości, ale z reguły w sposób przyczynkarski. Saloni zdecydował się na inne ujęcie: całościowe i *sensu stricto* językoznawcze. Jest to próba niewątpliwie ambitniejsza, choć kryjąca w sobie wiele niebezpieczeństw, z których nie wszystkich udało mu się uniknąć.

Materiałową podstawę analiz stanowiło 4000 przykładów, pochodzących z lat 1960-1965, wyekscerpowanych z zeszytów uczniów klas VIII-XI Liceum Ogólnokształcącego Nr 14 im. K. Gottwałda w Warszawie. Jak pisze autor, przeważają tu zdecydowanie dzieci ze środowiska inteligenckiego. Jest to zatem grupa stosunkowo jednolita, dla której pierwszym językiem jest potoczna polszczyzna ogólna w odmianie warszawskiej. Jest to ograniczenie dla pracy bardzo istotne, zebrany materiał ukazuje bowiem błędy, które powstają prawie niezależnie od innych odmian polszczyzny. Dlatego też obserwacje i wnioski autora są w pewnym stopniu reprezentatywne także dla trudności, jakie napotykają wszyscy użytkownicy polszczyzny kulturalnej (choć, oczywiście, w nieco innej skali). Z drugiej zaś strony musimy ciągle pamiętać o tym, że krąg obserwacji ograniczony do jednej szkoły warszawskiej nie gwarantuje w stopniu wystarczającym wiarygodności uogólnień. Tym bardziej, że mamy do czynienia jedynie z analizą jakościową; spotykane zaś określenia częstości i powtarzalności błędu „mają charakter przybliżony i orientacyjny” (s. 21).

Przykłady pochodzą z wypracowań szkolnych. Język wypracowań zalicza autor do tej funkcjonalnej odmiany języka ogólnego, którą Z. Klemensiewicz nazywa językiem normatywno-dydaktycznym. Odmiana ta jest dobrze opisana, a wycucie obowiązującej w niej normy stosunkowo jasne — wszystko to znakomicie ułatwia ocenę.

Autor ograniczył się do badania wykolejeń językowych w uczniowskich tekstach pisanych, jak wyznaje — „głównie z tej przyczyny, że analiza wykolejeń językowych wypowiedzi pisemnych jest znacznie łatwiejsza niż ustnych” (s. 5). Pomija przy tym błędy ortograficzne i większość interpunkcyjnych. Stanowisko z pewnością słuszne. Oddziela się w ten sposób wykroczenia przeciwko przepisom od właściwych błędów językowych.

Kwestią niezmiernie istotną w tego typu opracowaniach jest ocena, co jest błędem, a co jeszcze nim nie jest. Saloni reprezentuje tu postawę antypurystyczną, zaleca umiarkowanie w werdyktach poprawnościowych: „puryzm i brak umiaru, spotykany niekiedy u nauczycieli języka polskiego, może się okazać walką z wiatrakami, z tendencjami językowymi, które już dziś przeważają, a jutro mogą zwyciężyć” (s. 17). Powyższemu uzasadnieniu merytorycznemu stanowiska tolerancyjnego towarzyszy motywacja osobista — powołanie się na młody wiek i „stosunkowo «młode» wycucie językowe” (s. 16).

Cel pracy i jej przydatność charakteryzuje autor we *Wstępie*: „Celem niniejszego opracowania jest zanalizowanie typów błędów, z którymi się spotkałem w pra-

cach, ich interpretacja i systematyzacja. Może praca moja przyczyni się w pewnej mierze do udoskonalenia i wzbogacenia ćwiczeń w mówieniu i pisaniu. Może będzie przydatna dla nauczyciela, szukającego pomocy w swej codziennej pracy nad językiem uczniów" (s. 5). Sądzę, że charakterystyka ta grzeszy nadmierną skromnością. Książka Saloniego będzie bardzo przydatna — przede wszystkim jako źródło danych materiałowych — z jednej strony nauczycielom, ponieważ pokazuje wszystkie słabe punkty językowej edukacji młodzieży szkół średnich i pozwoli w związku z tym na zwrócenie na nie szczególnej uwagi, z drugiej zaś może okazać się pomocna dla autorów różnych wydawnictw pomocniczych dla uczniów i nauczycieli — z tych samych co wyżej względów.

Klasyfikacja błędów jest zawsze problemem kłopotliwym i kontrowersyjnym, przede wszystkim wskutek istnienia dużej liczby wypadków pogranicznych, nie mieszczących się w tradycyjnych siatkach klasyfikacyjnych. Z identycznymi kłopotami borykał się i autor, przyjmując za podstawę podziału materiału to, jakich dziedzin języka dotyczą błędy językowe. Zasadnicza klasyfikacja wygląda zatem następująco: błędy fleksyjne, składniowe, słownikowe i stylistyczne. Uzupełnia ją rozdział poświęcony językowemu odbiciu błędów myślenia. Ponadto praca zawiera wstęp, wnioski, obfity wykaz cytowanych pozycji oraz rozdział pt. *Założenia i metody pracy*, wprowadzający kilka klasycznych zagadnień teoretycznych, takich np. jak: norma i błąd, norma a system językowy, poprawność językowa a style funkcjonalne. Saloni przytacza i komentuje rozumienie normy i błędu przez językoznawców, jak Stanisław Słoński, Witold Doroszewski, Zenon Klemensiewicz, Bronisław Wieczorkiewicz, Eugenio Coseriu, Bohuslav Havránek, W. M. Winogradow. Świadomie rezygnuje z własnych sformułowań, wyjaśniając to następująco: „Praca moja nie ma charakteru teoretycznego, dlatego też nie będę dążył do samodzielnego zanalizowania tego zjawiska, lecz przejmę określenia językoznawców, którzy zajmowali się zagadnieniami kultury języka” (s. 6).

Szczegółowe omówienie zawartości książki jest bardzo trudne, chociażby ze względu na bogactwo zinterpretowanego materiału. Ograniczę się przeto do tych jej fragmentów, które z różnych względów mnie zainteresowały.

Właściwą analizę otwiera rozdział poświęcony błędom fleksyjnym. Mam tu jedno zasadnicze zastrzeżenie. Autor często konfrontuje tylko jak gdyby swoje obserwacje z typami błędów fleksyjnych, które są zarejestrowane w różnych wydawnictwach poprawnościowych, i na tej podstawie formułuje wnioski. Ponadto wydaje mi się, że materiał, którym autor rozporządza, jest trochę za ubogi. Stąd też często ogranicza się on do prostego wyliczenia napotkanych błędów, rezygnując z prób uogólniającej interpretacji. Niewielka liczba przykładów nie zawsze może przekonać o tym, że dane zjawisko jest charakterystyczne, bo może być przecież także indywidualnym potknięciem.

Rozdział III, moim zdaniem najciekawszy, omawia wykolejenia składniowe. Obfity i różnorodny materiał dzieli autor na kilka drobniejszych całości, rozpatrując kolejno: ogólne tendencje w składni związków wyrazowych, błędy w zakresie związku zgody i związku rządu, nadużywanie konstrukcji biernych, usterki w szyku wyrazów, błędy w użyciu spójników i zaimków względnych, wykolejenia imiesłowowych równoważników zdania, wreszcie błędy w zakresie konstrukcji dłuższych odcinków tekstu. Liczne niedostatki w dziale składni tłumaczy Saloni interesująco i zarazem przekonywająco. Wymienia dwie podstawowe przyczyny tego stanu rzeczy. Pierwsza tkwi, jego zdaniem, w zróżnicowaniu składniowym poszczególnych odmian polszczyzny, zwłaszcza w różnicach pomiędzy składnią języka mówionego i języka pisanego. Pisze na ten temat: „Wiele błędów uczniowskich to zapisane konstrukcje mówione, takie, które w potocznej rozmowie byłyby całkowicie dopuszczalne. Pojawienie się ich w wypracowaniach tłumaczy się tym, że dziecko opanowuje przede wszystkim składnię języka mówionego, która jest znacznie swo-

bodniejsza i w której całkowicie dopuszczalne są zjawiska uznawane za poważne błędy w języku pisanym" (s. 36). Przyznaje przy tym, że „przy kwalifikowaniu konkretnych błędów jako zjawisk języka mówionego często trzeba się posługiwać intuicją” (s. 37). Uczącym polonistom sprawia to wiele kłopotów, myślę jednak, że praca Saloniego będzie mogła im w niejednym pomóc. Drugą przyczynę dużej liczby błędów syntaktycznych widzi autor w ogromnym bogactwie konstrukcji składniowych, które należy opanować, by mówić poprawnie, oraz w bogatej synonimice składniowej, umożliwiającej przekazanie identycznej treści za pomocą zdań różnie zbudowanych. Sprzyja to, oczywiście, powstawaniu pomyłek, zwłaszcza kontaminacji. Na przykład w zakresie związku rzędu często spotyka się błędy typu: *Najbardziej go sympatyzuje; Serce mu tego nie pozwalało*. Tego rodzaju zmiany konstrukcji rzędu obserwujemy wtedy, gdy pod wpływem składni innego wyrazu czasownik nieprzechodni zostaje przez ucznia użyty jako przechodni z dopełnieniem biernikowym lub po przeczeniu — dopełniaczowym (por. s. 63).

Kilka uwag na marginesie szczegółowych kwestii syntaktycznych. Szyk wyrazów w tekstach polskich określany jest powszechnie jako „swobodny, choć niezupełnie dowolny” (sformułowanie S. Szobera). Ilustracją powyższej tezy jest odnośca się do tego zagadnienia literatura przedmiotu, która tylko w kilku sprawach daje precyzyjne normy, a w pozostałych pozostawia piszącego (i poprawiającego) na łasce intuicji językowej, jakże często przecież zawodnej. Toteż autor nie miał łatwego zadania, gdy zabierał się do poklasyfikowania najbardziej typowych błędów i usterek w szyku wyrazów. Muszę od razu jednak stwierdzić, że wyszedł z tego obronną ręką. Podobnie jak w wielu innych miejscach swojej książki wiąże i tu zagadnienia poprawnościowe z ogólnymi tendencjami współczesnej polszczyzny (mówionej i pisanej), a w interpretacji usterek korzysta obficie z najnowszej literatury językoznawczej. Charakterystycznym tego przykładem mogą być fragmenty poświęcone szykowi wyrazów. Saloni, idąc tu za propozycjami Anny Wierzbickiej, usiłuje powiązać zagadnienie szyku z różną spójnością poszczególnych związków podrzędnych, wychodząc z założenia, że spójność tych związków zależy od stopnia szczegółowości konotacji. Kryterium oceny staje się też zachowanie (lub niezachowanie) konfiguracyjności w związkach nadrzędno-podrzędnych (pojęcie wprowadzone za pracami rosyjskimi do składni polskiej przez A. Wierzbicką).

Omawiając użycie spójnika *a* w funkcji przeciwstawienia po przeczeniu (zamiast *ale, lecz*), nie powtarza autor stanowiska wydawnictw poprawnościowych, lecz zaleca nauczycielowi ocenę tolerancyjną, uwzględniającą społeczny *usus*. Píše w związku z tym: „Konstrukcja ta, swego czasu uważana za rażąco ruscyzm, zwłaszcza przez środowisko krakowskie, jest dziś tak rozpowszechniona, że chyba nieuniknione będzie wkrótce uznanie jej za poprawną; nauczyciel może ją chyba tolerować” (s. 95).

Razi Saloniego „zbyt szerokie, bo także w zdaniach czasowych i warunkowych” używanie zaimka *jak* i opatruje to zdecydowanym komentarzem: „Nie ulega wątpliwości, że źródłem ekspansji *jak* w języku pisanym jest wpływ mowy potocznej” (s. 97). Byłbym ostrożniejszy w ocenie. Jak wykazał zebrany przeze mnie przed kilku laty materiał, jest to zjawisko charakterystyczne także dla współczesnej prozy literackiej, która — naśladowując język mówiony — oddziałuje z kolei na niego i konstrukcje te *jak* gdyby nobilituje¹. To samo dotyczy *jakby* w funkcji *gdyby*.

Szczególnie oryginalne są fragmenty książki omawiające błędy w zakresie dłuższych odcinków tekstu, tzn. błędy naruszające słabsze i luźniejsze związki skład-

¹ O *jak* w znaczeniu czasowym pisał Witold Doroszewski w drugim tomie poradnika językowego „O kulturę słowa”, PIW, Warszawa 1968, s. 53—54. Por. też: Jerzy Podracki: *Wypowiedzenia czasowe ze spójnikiem „jak”*, „Prace Filologiczne”, tom. XXII.

niowe, często wychodzące poza granice wypowiedzenia. Można je także określić jako wykolejenia interpunkcyjne, które burzą związki syntaktyczne w tekście. Omówione zostały tu takie zagadnienia, jak: wprowadzanie cytatów i przytaczanie słów, wymagające użycia cudzysłowu, wprowadzanie do zdania członów wtrąconych i uwag nawiasowych, używanie członów nominalnych o charakterze „zawiadomień” (wg terminologii W. Pisarka), niewłaściwe rozczłonkowanie tekstu na jednostki zdaniowe, anakoluty, niewłaściwe stosowanie podmiotu domyślnego i wtrąceń nawiasowych. Sprawy te są bardzo słabo opracowane w publikacjach metodycznych, a i w naukowych opracowaniach składni traktowane po macoszemu.

Taki na przykład odcinek tekstu:

Dzwonię do kolegi — jak tam było w szkole? i co zadane? — to dwa symboliczne pytania.

jest dobrym przykładem naruszenia zasad w zakresie wprowadzania cytatów i przytaczania słów, wymagających użycia cudzysłowu. Ilustruje on jednocześnie ściśle powiązanie zagadnień poprawnościowo-językowych i interpunkcyjnych. W przytoczonym tekście nie ma w gruncie rzeczy błędu językowego, jest tylko chaos interpunkcyjny, pociągający jednak za sobą wykolejenie zapisu tekstu (s. 112).

Uczniowie używają także często członów nominalnych na prawach zdań, np.

Aby dopełnić obrazu romantycznej postaci Judyma, zwracam waszą uwagę na dwie drobne sprawy. Pierwsza — Judym w Luwrze duma przed posągiem Afrodyty Milońskiej i druga — dumanie Judyma podczas burzy w Cisach (s. 116).

Bardzo liczne i różnorodne są omawiane w rozdziale czwartym błędy słownikowe. Stanowią one, zdaniem autora, „niemal połowę błędów językowych spotykanych w wypracowaniach uczniowskich” (s. 133). Ogólną przyczynę widzi Saloni w szybkim uzupełnianiu braków, w stałym wzbogacaniu i doskonaleniu zarówno czynnego, jak biernego słownika uczniów. Ze względu na obfitość materiału zanalizowane zostały w zasadzie jedynie zjawiska typowe. Podzielono je na siedem zagadnień szczegółowych — „w zależności od charakteru elementów słownikowych podlegających wykolejeniu” (s. 135). Są tu zatem błędy w użyciu wyrazów niepełnoznanym, o znaczeniu relacyjno-gramatycznym, zbliżone znacznie do błędów składniowych. Wśród potknięć w posługiwaniu się wyrazami pełnoznanymi wyróżnia autor błędy oparte na mechanizmie fonetycznym, słowotwórczym i semantycznym (właściwe błędy leksykalne). Dalej idą błędy frazeologiczne: wykolejenia w użyciu wyrażen przyimkowych oraz wykolejenia związków łączliwych i stałych.

Na marginesie tych rozważań chciałbym wnieść jedną pretensję szczegółową. Autor używa niekiedy pewnych pojęć bez dodatkowych wyjaśnień (np. „agens” na s. 144). Dla nauczyciela, który jest głównym adresatem książki, nie są to z pewnością sprawy oczywiste.

Jak już wspominałem, najwięcej wynotował autor błędów słownikowych i składniowych, znacznie mniej fleksyjnych i stylistycznych, dlatego też „zagadnienia stylistyczne stanowią margines niniejszej pracy” (s. 202). Saloni koncentruje się przede wszystkim na typowych wadach stylu uczniowskiego: i było to wyjście właściwie jedyne, gdyż w wypadku innych rozwiązań utonąłby w różnorodności materiału. Klasyfikacja błędów stylistycznych ma charakter czysto roboczy: wieloznaczność sformułowań, skróty myślowe, wielosłowność, powtórzenia wyrazów i konstrukcji, naruszenia konsekwencji gramatycznej, niejednorodność stylistyczna. Wydaje mi się jednak, że trochę tu chyba za dużo różnych spraw szczegółowych, niejednokrotnie indywidualnych. Błędy stylistyczne nie najlepiej korespondują, moim zdaniem, z innymi częściami pracy. Istnieje po prostu zbyt wiele rozmaitych czynników, które determinują stosowanie danych form, a w konsekwencji pozwalają na ich ocenę.

Autor oczywiście prawidłowo rozdaje cenzurki, ale nie zawsze, jak zaznaczyłem, dotyczą one zjawisk typowych.

W rozdziale ostatnim analizowane są tzw. błędy logiczne, a więc zjawisko z pogranicza języka i myślenia, językoznawstwa i logiki, choć takie przeciwstawienie należy traktować raczej jako przenośnię lub jako zabieg porządkujący materiał. Dlatego nie sądzę, by szczęśliwie została sformułowana taka na przykład opozycja: „Trudno zdecydować, czy powodem błędów w tych zdaniach [cytowanych przez autora — J.P.] były usterki myślowe, czy językowe” (s. 235). Dla mnie jest to opozycja fikcyjna — na tej samej zasadzie można by zaliczyć do błędów logicznych dużą część potknięć składniowych.

Na zakończenie kilka uwag na marginesie wniosków autora. Wymienia w nich sześć typów błędów nie uwarunkowanych ograniczonymi geograficznie i środowiskowo odmianami polszczyzny, mających inne źródła:

1. „powszechne od dawna zjawiska ogólnopolskiego języka potocznego, nie aprobowane przez sfery kulturalne i językoznawców zajmujących się kulturą języka;

2. zjawiska pokazujące wyraźne tendencje rozwojowe współczesnej polszczyzny, nie sankcjonowane przez normę;

3. wykolejenia polegające na niedostrzeganiu przez piszącego różnic między językiem mówionym a pisanym i wprowadzaniu do wypowiedzi pisemnej środków językowych charakterystycznych dla języka mówionego;

4. wykolejenia mające za przyczynę operowanie środkami językowymi nie należącymi do czynnego zasobu językowego piszącego, rozumianymi w sposób niewłaściwy, niepełny lub niejasny;

5. wykolejenia językowe mające przyczyny pozajęzykowe: niedostateczną znajomość przedmiotu, o którym się pisze, lub błędy myślowe;

6. wykolejenia sprowadzające się do użycia środków językowych należących do normy współczesnej polszczyzny kulturalnej w niewłaściwej funkcji stylistycznej” (s. 242).

Opierając się na klasycznej opozycji: *langue* — *parole*, błędy wymienione w punktach 1, 2 i 4 zalicza autor do dziedziny *langue* („uwarunkowane prawami rozwoju języka”, sprowadzające się do „niezadowalającego opanowania systemu językowego”), pozostałe — do *parole* (błędy te „nie wywierają żadnego wpływu na język i nie są uwarunkowane prawami językowymi”, polegają na „nieumiejętnym stosowaniu przyswojonych już środków językowych”, s. 243).

Zbieżność znacznej części błędów uczniowskich z wykolejeniami prasy tłumaczy Saloni szkodliwym wpływem najpopularniejszych dzienników i tygodników, wychodząc z pesymistycznego założenia, że jest on „niewątpliwie silniejszy niż oddziaływanie języka literatury pięknej, który w tradycji pedagogiczno-metodycznej miał być najważniejszym wzorem w kształtowaniu języka uczniowskiego” (s. 243). W związku z tym bardzo słusznie zwraca uwagę na przerost w dotychczasowej praktyce szkolnej tematów historycznoliterackich i w dodatku opartych na lekturze przerastającej dojrzałość umysłową ucznia kosztem tematów wolnych, twórczych, wymagających jego aktywności. Stąd logiczny, choć może zbyt kontrowersyjny dla wielu nauczycieli wniosek: „bezwzględnie trzeba przewyciężyć złą «tradycję historycznoliteracką» w praktycznym nauczaniu języka” (s. 248). Postulat ten zdążył już stać się aksjomatem w metodyce nauczania języków obcych, czas, by wszedł wreszcie na trwałe i do metodyki nauczania języka ojczystego.

Autor dostrzega podobieństwo zebranych przez siebie błędów (nie tylko kwestii ogólnych, lecz także konkretnych problemów) do potknięć rejestrowanych przez obcojęzyczne podręczniki stylistyki praktycznej i poradniki z zakresu kultury języka. Próbuje to wytłumaczyć „podobnymi skłonnościami umysłu ludzkiego” (s. 244).

A może wystarczyłoby w związku z powyższym skonstatować podobieństwo niechlujstwa językowego — bez odwoływania się do mglistych „skłonności umysłu ludzkiego”?

Na zakończenie formułuje Saloni odpowiedzi na dwa praktyczne pytania: w jaki sposób nauczyciel powinien traktować błędy językowe i w jaki sposób zwalczać je u swych uczniów? Moim zdaniem pierwsze pytanie nie ma większego sensu, odpowiedź na drugie wymagałaby odrębnej książki, a autor musiał się z konieczności ograniczyć do ogólnikowych rad, których nauczyciel dosyć z różnych stron otrzymuje.

Nie najlepszą sytuację w dziedzinie poprawności i sprawności języka uczniów wiąże autor także z „ogólnym zaniedbaniem w Polsce dziedziny praktycznej stylistyki” (s. 249), m.in. z brakiem odpowiednich publikacji. Dlatego też konkluduje: „Walka z błędami nie powinna być czymś samoistnym, musi ona bowiem stanowić część programu pomyślanego szerzej, programu praktycznego kształcenia językowego” (s. 249). Zgadza się z tezą Saloniego, że „walka z błędami językowymi musi być właśnie częścią takiego szeroko pojętego programu stylistyki praktycznej czy technologii lingwistycznej”, przyznaje, że jego książka może się rzeczywiście przyczynić do sformułowania takiego programu.

Jerzy Podracki

POLJSKI U 100 LEKCIJA.
TROCHE WYJAŚNIEN W ZWIĄZKU Z RECENZJĄ W. LUBASIA

W nrze 6 „Poradnika Językowego” z czerwca br. ukazało się omówienie mojej książki „Poljski u 100 lekcja” pióra dra W. Lubasia. Ton tego artykułu jest dość dziwny i dla mnie jest jasne, dlaczego jest taki. Ponieważ jednak czytelnicy tego cenionego czasopisma o tym nie wiedzą, muszę dać trochę drobnych wyjaśnień, aby można było uniknąć pewnych błędów lub wątpliwości.

Dr Lubaś mówi, że moja książka nie ma adresata. Ale przecież z całego układu materiału jasno widać, że pisałem samouczek. Próbowałem napisać podręcznik dla samouków ze słownictwem wziętym z życia codziennego, w tekstach dałem sporo informacji o Polsce i o Polakach, aby ich przybliżyć naszemu czytelnikowi; dałem także dwa teksty o Jugosławii i o Belgradzie, aby uczący się polskiego mógł Polakom po polsku powiedzieć kilka słów o swoim kraju i o swojej stolicy. Teksty te, wszędzie tam, gdzie to było możliwe, przeplatają się z tekstami polskich pisarzy, aby nasz czytelnik mógł poznać przynajmniej ich nazwiska, a także, aby zobaczył, jak wygląda tekst literacki [w języku polskim]. Zrozumiałe jest, że w tych tekstach spotyka się „starzyznę leksykalną i gramatyczną”; nie żałuję jednak, że tak tę książkę opracowałem. Myślę, że w większości wypadków zwroty poetyckie i wyrazy niezwykle dla języka mówionego [tj. nie występujące w języku mówionym — uwaga tłumacza] opatrzyłem odpowiednią uwagą. Powinienem tu wspomnieć „dziewki kraśniejsze” z Lenartowicza, z powodu których dr Lubaś zażartował sobie ze mnie. Niezupełnie ma on rację. Ja o tych wyrazach powiedziałem, że nie są one zwykle [tj. nie są stylistycznie neutralne — uwaga tłumacza]. Przy pierwszym podałem: „(ovde) divan” — «(tutaj) piękny», a w ogólnym słowniku tego wyrazu nie ma. Podobna uwaga była przy wyrazie *dziewka* w tekście z prawej strony marginesu, ale przypadkiem została ona przeoczona w czasie druku. Jest to oczywiście mój błąd. Z tej (wydrukowanej) uwagi wynika, że to znaczenie i ten wyraz użyte zostały tylko w tym miejscu, co jest wystarczające, aby ich nie używać w języku potocznym.

Jeśli chodzi o objaśnienia gramatyczne, to są one zwykle na poziomie wiedzy naszego czytelnika, który umie tyle, ile się nauczył w szkole podstawowej. Jeśli jakaś sprawa była bardziej skomplikowana, wskazywałem, jak to wygląda w języku serbsko-chorwackim. Dlatego nie dawałem transkrypcji naukowej, ale próbowałem to osiągnąć środkami naszego alfabetu. Z tego powodu transkrypcja polskiego *y* jest taka, a nie inna, ponieważ została objaśniona jego wymowa. I dlatego powiedziałem, że będę je transkrybował umownie za pomocą *i* i małego *e* nad nim, co znaczy, że jest to nasze niskie *i* albo *i* przesunięte w kierunku *e*. Nie ma tu mowy o żadnym dyftongu.

To co powiedziałem o polskim *č*, że jest ono „trochę twardsze”, że „język jest nieco wyżej” niż przy wymowie naszego [ć], jest według p. Lubasia „informacją nieprecyzyjną”. (Nie napisałem tak, jak to cytuje p. Lubaś: „przy wymawianiu polskiego *č* język jest nieco wyżej niż przy wymowie *č* serbsko-chorwackiego”). Jest to jednak dokładne [sformułowanie]. Widać to jasno, jeśli się porówna polskie palatogramy lub rentgenogramy z serbsko-chorwackimi (nasze można znaleźć u B. Mileticia: „Izgovor srpskohrvatskih glasova”, 1934 albo w mojej książce „Problemi

pozorišnog jezika", I, 1951). A to jest łatwo zrozumiałe nawet dla niespecjalisty. Pan Lubaś uważa także za złe objaśnienie, że polskie *v* ma bardziej intensywną wymowę niż serbsko-chorwackie. Uważam, że jest to i dokładne, i potrzebne, ponieważ u mnie jest napisane: „i podlegają upodobnieniu”. I podaję zaraz przykłady: *trafka, kručka*. W przeciwnym razie nasz czytelnik nie mógłby poprawnie wymówić takich połączeń [spółgłoskowych]. Jeszcze więcej trudności przysparzałyby mu grupy spółgłoskowe występujące w wyrazach *tfoja, xfaŭa*. Połączenia tego typu Polak mówiący po serbsko-chorwacku z reguły wymawia źle, ponieważ nie potrafi on wymówić *tvoja, hvala* (w serbsko-chorwackim nie ma *hvaŭa*, jak podaje p. Lubaś). Pan Lubaś twierdzi także, że są u mnie „błędne informacje” np. że polskie *l* jest miękkie, a w wyrazach *l'ist, l'ipa* „jeszcze bardziej miękkie”. Takiego tekstu u mnie nigdzie nie ma. Powiedziałem, że język polski ma dwa *l*, więc jedno nazywam zawsze „tak zwane miękkie *l*”, a drugie „tak zwane twarde *l*”, tj. *ł*, mając tutaj na myśli znaki *l* i *ł*. Po opisie wymowy pierwszego z nich powiedziałem, że będę je zawsze transkrybować za pomocą naszego *l*, a o małych różnicach między serbsko-chorwackim a polskim *l* powiedziałem tyle, ile było potrzebne; wskazałem nawet położenie języka. Następnie powiedziałem, że *l* jest „nešto mekše” «trochę miększe» (a nie „jeszcze bardziej miękkie”, jak to oddaje p. Lubaś) przed *i*, ale to jest zrozumiałe, ponieważ tak jest i w języku serbsko-chorwackim. To wszystko jest jasne i nie wymaga żadnych uczonych wyjaśnień. I to można zobaczyć na palatogramach we wspomnianych już książkach, jeśli ktoś potrzebuje to sprawdzić.

Pracując nad samouczkiem, starałem się specjalnie konsekwentnie realizować zasadę stopniowania trudności, co w tych wypadkach jest niezwykle potrzebne. Zakłada się bowiem tutaj pracę bez nauczyciela. Dlatego niekiedy daję czytelnikowi także objaśnienia dotyczące języka serbsko-chorwackiego, jeśli przypuszczam, że ich nie zna, aby mu zwrócić uwagę na podobieństwa między oboma językami, aby go nakłonić do rozmyślań, aby połechtać jego ciekawość. To jest gra, która przynosi bardzo dobre rezultaty. Pan Lubaś uważa, że ta moja metoda przynosi więcej szkody niż pożytku. Niech mi będzie wolno być zupełnie przeciwnych zapatrywań. Znane mi są różne sposoby nauczania języków obcych. W nauczaniu zaś języka polskiego u nas mam czterdziestoletnie doświadczenie i myślę, że mam prawo mieć własne zdanie. Rozpocząłem kurs języka polskiego przez radio w Belgradzie w 1933/34 roku, a tekst tego kursu w trochę skróconej postaci wyszedł w mojej książce „Praktični udžbenik poljskoga jezika”, I, 1934. Niestety, wyszła tylko pierwsza część. Zawsze stosowałem i stosuję metodę porównawczą, zwracając szczególną uwagę na podobieństwa, a jeszcze bardziej na różnice, które mogą być niebezpieczne, ponieważ podobieństwa fonetyczne mogą być przyczyną błędów. Jeśli w dostatecznym stopniu bierze się to pod uwagę, jest to wielkim ułatwieniem w pracy.

Muszę coś powiedzieć także i o „papierowym” tekście, który został zacytowany „na chybił trafił” z mojej książki. O nim pisze p. Lubaś, że znajduje się w lekcji IV (s. 14). Są to bardzo proste zdania, zbudowane bez użycia *y, e, a* [chodzi zapewne o *ę, q* — uwaga tłumacza], *š, ž, l, ł*, bez ubezdźwięcznienia w wygłosie i bez upodobnień. Dążyłem bowiem do stopniowania trudności. Z tym powinien się liczyć każdy, kto moją książkę weźmie do ręki. A jest to jasne, jeśli się książkę czyta w całości, a nie szuka w niej oddzielnych wyrazów i zdań wyrwanych z kontekstu.

W końcu, z niepełnych trzech stron tekstu tej recenzji, p. Lubaś zużył prawie pół strony na przedrukowanie — ku pogębieniu polskich czytelników „Poradnika Językowego” — tekstu o Mickiewiczu (bez żadnego komentarza), wyjętego z mojej książki, z takim zdaniem wprowadzającym: „A oto jak wygląda przedstawienie sylwetki Mickiewicza”. Potem następuje cały tekst ze s. 172 mojej książki. Ale p. Lubaś nie powiedział — a powinien to powiedzieć, ponieważ może to zauważyć każdy, kto otworzy moją książkę — że to nie jest „sylwetka Mickiewicza”, ale

są to ćwiczenia na wymowę i czytanie polskich liczebników porządkowych. Zamiast dawać tu jakieś dowolnie zestawione liczebniki, dałem daty i lata z życia Mickiewicza. Kto inny może by pochwalił to, że nawet do ćwiczeń na liczebniki porządkowe wprowadziłem daty z życia Mickiewicza. Ale nie pan Lubaś.

W ogóle, muszę przyznać, jest mi bardzo żal, że autor recenzji cytował pojedyncze wyrazy i zdania wyrwane z kontekstu i że nie spojrział, jak ta moja książka wygląda w całości i czy na tych 300 stronach tekstu nie ma także czegoś dobrego. Wyraził on pochwałę tylko w ostatnim zdaniu, i to taką: „Praktyczną funkcję książka ta, przynajmniej do pewnego stopnia spełni, zwłaszcza w sytuacji, kiedy nie ma innych”. Ładna pochwała!

Djordje Živanović
(Tłumaczył Włodzimierz Pianka)

KAZIMIERZ BAJOR: ZAGADNIENIE DOBORU SŁOWNICTWA DO NAUKI JĘZYKA ROSYJSKIEGO. SKRYPT DLA STUDENTÓW CZWARTEGO ROKU FILOLOGII POLSKIEJ (W JĘZYKU ROSYJSKIM), PWN, ŁÓDŹ 1971.

Informacja o tym ciekawym opracowaniu może zainteresować niektórych czytelników „Poradnika Językowego”, ponieważ dotyczy ogólnych problemów doboru leksykalnego występujących zarówno w nauczaniu języka obcego, jak i ojczystego. Książka ta pokazuje, że nie jest możliwe sprostanie wymaganiom, jakie się stawia wobec autorów podręczników do nauki języków obcych, jeżeli polegać oni będą wyłącznie na intuicji i największym nawet doświadczeniu pedagogicznym.

Po przeczytaniu tej pracy wydaje się czytelnikowi, że oto znalazł wreszcie odpowiedź na pytanie, dlaczego nasza młodzież mimo wielu lat nauki języków obcych, nie mówi nimi, lecz się „jąka”. Uzbrojony w statystyczne zestawienia, przekonany argumentacją i wskaźnikami czytelnik gotów twierdzić, że stan dzisiejszy w tym zakresie zmienić nie byłoby trudno. Wystarczyłoby zastąpić złe podręczniki takimi, które respektują naukowe podstawy doboru słownictwa zwłaszcza, że podstawowe pomoce — słowniki frekwencji — zostały dla języka rosyjskiego opracowane. Trudno jednakże w końcu nie poddać się refleksji, iż gdyby było tak łatwo, jak nam się zdaje, stan ten naprawić, nie byłoby tak trudne napisanie dobrego podręcznika. Pisząc podręcznik trzeba bowiem pogodzić sprzeczne w zasadzie cele: ograniczony zasób leksyki, właściwą dla efektywnego nauczania powtarzalność słów, trzeba pogodzić z zasadą interesującego wykładu, co wiąże się z możliwością poruszania coraz to nowych tematów, jak również z koniecznością dostarczenia uczniowi pewnej wiedzy o kraju, którego język poznaje. Tym wszakże autor książki się nie zajmuje, ponieważ, jak łatwo się domyślić, nie jest jego celem opracowanie recepty na dobry podręcznik. Jest on daleki od wszelkich pouczeń, a za główne zadanie uważa porównanie założeń programu szkoły podstawowej w zakresie języka rosyjskiego z podręcznikami tego przedmiotu dla klas V-VIII oraz konfrontację tych podręczników z osiągnięciami lingwistyki i metodyki w zakresie naukowych podstaw i kryteriów doboru słownictwa przeznaczonego do aktywnego i pasywnego poznania języka rosyjskiego jako obcego. Autor stara się odpowiedzieć na pytanie, czy istniejące podręczniki dla klas V-VIII gwarantują przez odpowiedni dobór słownictwa i jego powtarzalność pożądane efekty w nauczaniu. Problem doboru słownictwa jest na tym etapie szczególnie ważny, ponieważ celem nauki w okresie początkowym jest zapoznanie ucznia z podstawowymi strukturami języka, ich automatyzacja przy jak najoszczędniej dobranym słownictwie. Toteż z całego niezmiernego morza leksyki podręczniki wybrać powinny tylko słownictwo niezbędne, podstawowe. Takimi intencjami kieruje się program nauki j. rosyjskiego, który ogranicza liczbę słów przeznaczonych do przyswojenia w szkole podstawowej do 1000 jednostek leksykalnych, zaś w szkole średniej do 1200. Wprawdzie trudno znaleźć kogoś, kto by kwestionował zasadę doboru do podręcznika słów niezbędnych, znacznie jednak trudniej znaleźć dwie osoby, które by ustaliły jednokową listę takich słów. Mało tego, trudno znaleźć nawet zgodę co do tego, jakie kryteria trzeba uznać za pierwszoplanowe przy racjonalnym doborze słów. Co prawda wszyscy zgadzają się z tym, że konieczną, niezastąpioną bazą dla słownika-minimum są spisy wyrazów ustalone w wyniku badań frekwencji słów w języku.

Słusznie jednak podkreśla się, że nie można postawić znaku równości między częstością słowa i jego niezbędnością w procesie porozumiewania się. Niektórym wydaje się, że najpotrzebniejsze są wyrazy będące nazwami przedmiotów, bez których trudno się obejść, choć łatwo byłoby znaleźć przykłady użytecznych przedmiotów, których nazw nie musi znać cudzoziemiec rozpoczynający naukę języka.

Kryterium biorącego pod uwagę zdolność danego wyrazu do spełniania konstruktywnej roli w języku autor podręcznika nie uważa za szczególnie odkrywcze, ponieważ wyrazy służebne znajdują się w słowniku już dzięki kryterium częstotliwości. Są one przecież najczęstsze w języku. Kryterium gramatycznej produktywności słowa może dostarczyć słownikowi wyrazów będących wzorami, czy to odmiany, czy derywacji. Ale słusznie podkreśla się, że często najpotrzebniejsze są nie te wyrazy, które da się włączyć w długie serie regularnych odmian, czy derywacji, lecz właśnie te nieregularne, najmniej typowe i izolowane.

Bierze się również pod uwagę kryterium, według którego przydzielili się do słownika-minimum wyrazy potrzebne w procesie nauczania szkolnego. Do takich należą np. wyrazy dotyczące otoczenia ucznia w klasie, choć trudno je uznać za najpotrzebniejsze z punktu widzenia późniejszych kontaktów ucznia z cudzoziemcami. Jeżeli słownik-minimum dla celów dydaktycznych winien odpowiadać swoją zawartością celom nauki, gwarantować jej efektywność, wreszcie odpowiadać systemowi leksykalnemu języka — nie może być mowy o stworzeniu jednego, uniwersalnego słownika-minimum dla danego języka. Tak więc, w końcu trzeba przyznać, że najlepsze rozwiązanie znajduje się dzięki lingwostatystyce, dzięki badaniom ujawniającym listy najczęstszych wyrazów. Słownik frekwencyjny daje podstawę, bazę dla słownika-minimum. Dla tych jednak, którzy byliby skłonni widzieć w słowniku frekwencyjnym panaceum na kłopoty z doбором słownika dla celów dydaktycznych, autor poświęca rozdział V, w którym pokazuje, iż wprawdzie kryterium częstotliwości można uznać za obiektywną metodę wyszukania, ustalenia listy słów podstawowych, jednak musi ono być wsparte innymi zasadami doboru. Przypomnijmy, co pisze o ustaleniu minimum dla języka francuskiego T. Woźnicki¹. Zestawiono tam listę wyrazów, które w materiale 312 tysięcy użyć wyrazów powtórzyły się po 29 razy i okazało się, że tak potrzebne słowa jak *znaczek pocztowy*, *autobus*, *sklep spożywczy* w materiale nagrany w czasie 163 rozmów występowały tak rzadko, że na wspomnianej liście w ogóle się nie znalazły. K. Bajor stwierdza, że np. wyraz *koperta* nie powtórzył się w ani jednym zestawie rosyjskich najczęstszych słów. Jak wiemy, w słownikach frekwencji tylko pierwsze setki wyrazów pokrywają się, reszta bywa różna w zależności od bardzo wielu czynników jak dobór tekstów, ich rodzaj, czas, tematyka. Na wagę słowa w systemie języka wskazuje nie tylko zwykła częstość, ale i jego rozprzestrzenienie w tekstach. Inną wagę ma słowo, które wystąpiło 100 razy w 10 tekstach, inną to, które wystąpiło 100 razy w 1 tekście. Uchronić się przed przypadkowością — twierdzi autor — można w pewnym stopniu opierając się nie na jednym, lecz na kilku słownikach częstotliwości dla danego języka. Po drugie, zabezpieczeniem przed jednostronnością będzie logiczne podejście do materiału leksykalnego, uwzględnienie kryterium tematycznego, o czym wyżej wspominaliśmy. Według tego kryterium łatwiej dobrać rzeczowniki, trudniej czasowniki, przymiotniki i przysłówki. Przy włączaniu słów na zasadzie tematycznej należy też pamiętać o tym, jak korzystne jest włączanie do słownika-minimum wyrazów takich np. jak *rzecz*, *przedmiot*, *roślina*, których szeroki zakres stanowi cenny w procesie dydaktycznym walor.

Doświadczenie uczy, że warunkiem wypracowania u uczących się właściwego wyczucia semantycznych opozycji i związków wyrazowych jest taka „podaż” słow-

¹ T. Woźnicki: „O programach i podręcznikach języków obcych”, Warszawa 1967, PZWS, s. 117.

nictwa, która uwzględnia pewne kręgi, mikrosystemy semantyczne. Toteż nie należy się np. kłopotować tym, że słownik częstości wśród najczęstszych wyrazów nie umieszcza wyrazów: *styczeń, kwiecień, grudzień* czy niektórych dni tygodnia. Muszą one wejść do słownika-minimum na zasadzie kryterium proporcjonalności, które każe włączać całe kręgi tematyczne, jak np. dni tygodnia, nazwy miesięcy, pory roku, antonimy itp. niezależnie od ich absolutnej częstości w języku.

Tak więc mechaniczne zakwalifikowanie do słownika-minimum określonej liczby słów najczęstszych nie jest uzasadnione, zarówno z powodu naturalnych niedostatków słownika frekwencyjnego, jak i z powodu tego, że słownik-minimum musi zawierać również słowa rzadkie, ale uzasadnione z lingwistycznego i dydaktycznego punktu widzenia².

Autorzy podręczników do nauki języka rosyjskiego są w tym szczęśliwym położeniu, że mogą korzystać z wyników wielu prac statystycznych. Prawda, że podstawowy słownik frekwencyjny E. Szteinfeldt oparty jest na analizie języka pisanego, jednak praca wykonana przez J. Markowa i T. Wiszniakową dała możliwość porównania list częstotliwości wyrazów w języku pisanym i mówionym. Wspomniani autorzy przeprowadzili badania 234 nagranych rozmów, co dało ok. stu tysięcy użyć sześciu tysięcy wyrazów. Cały materiał rozdzielono na sto grup i badano rozpowszechnienie poszczególnych słów, stwierdzając, w ilu z tych porcji dany wyraz się znajdzie. Następnie zestawiono słownik, w którym znalazły się wyrazy spotkane przynajmniej w pięciu spośród stu badanych porcji.

Składający się z 1200 wyrazów słownik został porównany ze słownikiem E. Szteinfeldt. Stwierdzono, iż nie ma fundamentalnych różnic w zestawie słów najczęstszych w mowie i uchwyconych w języku pisanym. Wyniknął z tego ważny wniosek metodologiczny: nie ma sensu zestawiać dla nauki języka rosyjskiego dwu odrębnych słowników: do nauki czytania i rozumienia tekstów oraz do nauki mówienia.

Zasób słownika podręczników jest czynnikiem decydującym o treści pracy z uczniem. W związku z tym słownikowi podręcznika stawia się szereg wymagań, a wśród nich dwa najważniejsze, by zawierał ograniczony zasób najpotrzebniejszych słów i by powtarzalność tych słów w tekstach i ćwiczeniach była wystarczająca dla zapamiętywania. Analiza podręczników do nauki języka rosyjskiego pokazuje, że słowniki 4 podręczników, dla klas V-VIII przewidują wprowadzenie 4328 nowych słów. W stosunku do tego, czego żąda program, jest tych wyrazów cztery i pół raza więcej... Program przewiduje bowiem w kl.

V — 400 słów; podręcznik wprowadza 841

VI — 650 słów; podręcznik wprowadza 1444

VII — 850 słów; podręcznik wprowadza 2157

VIII — 1000 słów; podręcznik wprowadza 3128.

W ostatniej klasie przyrost powinien stanowić 18% poprzednio wprowadzonych słów, a wynosi 120%! Po przeliczeniu godzin przeznaczonych na naukę języka rosyjskiego okaże się, że na każdej lekcji należy wprowadzić: w kl. V — 9 nowych słów, w kl. VI też 9, w kl. VII — już 13, w kl. VIII — aż 27 nowych słów, co już drastycznie przewyższa możliwości percepcji ucznia, nawet jeżeli się weźmie pod uwagę, że nie wszystkie wprowadzone słowa są przeznaczone do efektywnego zapamiętania. Słów dodatkowych, nie przeznaczonych do aktywnego opanowania nie może być według programu więcej niż 15—20 procent. O tym, jak dozwolone ramy przekraczają cytowane podręczniki, świadczy to, że na każde nowe słowo przeznaczone do aktywnego poznania przypada aż 9 słów ze słownika pasywnego. W klasie ósmej słownik czynny — pisze autor — utonął w morzu leksyki przeznaczonej do pasywnego opanowania. Programowe minimum czynnej leksyki stanowi tu załed-

² Np. rosyjski słownik-minimum zawierający 700 słów ma wśród nich 514 wybranych według kryterium częstości, a 186 według kryterium tematycznej niezbędności.

wie 10⁰/₀ wszelkiej leksyki wprowadzonej w tym podręczniku, co kłóci się z zasadą „im mniejszy słownik w książce do czytania, tym ona jest cenniejsza”.

Wypracowanie umiejętności posługiwania się słownictwem w mowie, aktywizacja struktur zależy od częstości powtórzeń tych elementów języka w podręczniku. I tu wspomniane podręczniki sprawiają nam kolejny zawód. Aż 1452 słowa (co stanowi 34⁰/₀ leksyki) nie mają powtórzeń. Zjawiają się w podręcznikach tylko jeden jedyny raz. Aż 3408 słów ma powtarzalność 1-9 i tylko reszta, tj. 910, ma powtarzalność częstszą. Taki rozkład niczym nie różni się od zwykłej „nie sterowanej” powtarzalności wyrazów w normalnym potoku mowy. Nie lepiej niż ta ogólna powtarzalność przedstawia się powtarzalność słów zakwalifikowanych przez program do słownika-minimum przeznaczonego do aktywizacji, okazuje się, że 30 słów z programu w ogóle nie znalazło się w podręcznikach, 500 ma powtarzalność 109, zaś częstość 10—19 ma 210 wyrazów. Średnia częstość wyrazów w słowniku Puszkina wynosi 24, średnia zaś częstość słów w omówionych podręcznikach do nauki j. ros. wynosi 14. Ponieważ naturalna powtarzalność słów nie może zapewnić ich wyuczenia się, nic dziwnego że tak duże kłopoty mają uczniowie z tym przedmiotem. Poza powtarzalnością drugim warunkiem efektów w nauczaniu jest organiczne rozwijanie materiału lekcyjnego. Tu statystyka jest wręcz przygniatająca: tylko 2⁰/₀ całego zasobu słowników pojawia się we wszystkich słownikach. Słów spotkanych w tylko jednym podręczniku z czterech porównywanych jest aż 56⁰/₀ (2428). Uczeń ma więc do czynienia z coraz to nowym materiałem; stary, przerobiony skazany jest w ten sposób na zapomnienie.

Program określa, na jakie tematy powinien uczeń umieć się wypowiadać. Np. przewiduje on, że temat „Nakrycia, podawanie do stołu” powinien być przerobiony w kl. V. Podręcznik kl. V wprowadza w tym zakresie... jedno słowo: *filiżanka*. Choć to dziwne, ale takie słowa, jak *łyżka* i *widelec* zjawiają się dopiero w słowniku kl. VIII.

Autor przedstawia nam jeszcze jedno pouczające zestawienie: okazuje się, że prawie 1500 słów, co daje 33⁰/₀ całego materiału użytego w szkolnych podręcznikach, nie występuje na listach najczęściej używanych w języku rosyjskim słów. Po prostu słowniki szkolne w tak ogromnym procencie nie pokrywają się z listą najczęstszych słów w słowniku frekwencyjnym. Znaczy to, że przytłaczająca liczba słów w podręcznikach należy do słownictwa rzadkiego. Nasuwa to jeden wniosek: warunkiem otrzymania dobrego słownika-minimum jest nie tylko istnienie słownika frekwencyjnego, ale i opracowanie naukowych zasad doboru wyrazów do słownika-minimum. Tym autor zajmuje się w kolejnych rozdziałach. Wśród problemów, które trzeba rozstrzygnąć przy opracowywaniu podstawowego dla nauczania zasobu słów, wybijają się następujące: 1) określenie podstawowej jednostki, 2) zasady i kryteria doboru, 3) procedura wyboru i selekcji, 4) ocena słuszności dokonanego wyboru.

Przy ustalaniu podstawowej jednostki powstaje problem dzielenia potoku mowy, ustalania granicy między leksyką a frazeologią i składnią. Autor twierdzi, iż przy ustalaniu jednostki dla słownika-minimum przestają być przydatne definicje leksykologów, ponieważ biorą one pod uwagę wyłącznie lingwistyczny punkt widzenia, natomiast rozpatrywany problem ma jeszcze aspekt dydaktyczny.

W procesie nauczania trzeba np. każde nowe znaczenie wyrazu uważać za odrębną jednostkę, dalej, dla objętości słownika-minimum jest np. ważne, jak rozstrzygnie się sprawę luźnych związków frazeologicznych, ponieważ znajomość oddzielnych słów jeszcze nie gwarantuje uczniowi zdolności przewidywania, z jakimi innymi wyrazami dane słowo może wchodzić w związki składniowe, z jakimi nie. Słownik-minimum musi więc problem łączliwości słów uwzględniać przy zestawianiu i podliczaniu jednostek. Za podstawową jednostkę słownika-minimum autor

uważa: 1) słowo o jednym znaczeniu, 2) oddzielne znaczenie każdego wieloznacznego słowa, 3) oddzielne znaczenie homonimu, 4) oddzielną formę słowa, która jest odmienna od odpowiedniej formy polskiego ekwiwalentu, jeżeli ta forma na danym etapie nauczania jest wprowadzana z określonych przyczyn jako fakt leksykalny, 5) każdą formę supletywną, 6) słowo o kilku znaczeniach można uznać za jeden element słownika-minimum, jeżeli wszystkie znaczenia tego identycznego z polskim ekwiwalentem wyrazu zgadzają się ze znaczeniami ekwiwalentu polskiego, 7) zleksykalizowane połączenia słów, 8) luźne związki frazeologiczne, jeżeli z punktu widzenia języka polskiego są one idiomatyczne, „nieprzewidywalne”, 9) stałe związki frazeologiczne, 10) zdania, jeśli stanowią one całościowe gotowe znaki językowe.

Interesująco wypadają wyniki autora co do ustalenia podstawy, osnowy słownika-minimum, czyli tej grupy słów, które powinny się znaleźć w każdym słowniku-minimum niezależnie od celu dydaktycznego, jakiemu ma on służyć. Jest to jądro leksyki rosyjskiej, zasób słów powtarzających się we wszystkich stylach mowy. Z pomocą skomplikowanych operacji, jakimi było porównanie wszystkich słowników frekwencyjnych języka rosyjskiego, zabiegów zmierzających do ustalenia absolutnej i względnej częstości słowa autor wyodrębnia 261 wyrazów podając jednocześnie ich pełną charakterystykę z punktu widzenia obecności każdego z nich w poszczególnych słownikach frekwencyjnych, podaje ich absolutną częstość, tj. liczbę użyć danego słowa przypadającą na 1,2 miliona użyć słów. Wszystkie słowa tego spisu znalazły się, jak twierdzi autor, w podręcznikach kl. V-VIII; okazało się ponadto, że te 261 słów pokrywa 57% tekstu podręczników. Te 260 słów stanowi połowę użyć w mowie wszystkich słów języka rosyjskiego, dają one możliwość przyswojenia uczniowi podstaw gramatyki. Wśród nich znajduje się znaczna liczba wyrazów określanych jako nieregularne. Ostatni VII rozdział pokazuje, jakimi sposobami autorzy słowników-minimum mogą sprawdzić wartość, słuszność dokonanego przez nich wyboru. Do książki dołączony jest też słownik częstotliwości wyrazów z podręczników języka rosyjskiego używanych w Polsce w kl. V-VIII. Słownik włącza wszystkie użyte w podręcznikach słowa i podaje ich charakterystyki.

W ten sposób dzięki pracy teoretycznej, opartej na statystyce stworzone zostały podstawy nowoczesnego programu szkolnego i nowoczesnego podręcznika. Oczywiście nie należy zapominać, że znajomość tych problemów w takim mniej więcej stopniu przesądzi o powstaniu dobrego podręcznika, w jakim stopniu znajomość przepisów kulinarnych przesądza o jakości potraw.

Janina Wójtowicz

HENRYK BOREK: *OPOLSZCZYZNA W ŚWIETLE NAZW MIEJSCOWYCH*.
INSTYTUT ŚLĄSKI W OPOLU, OPOLE 1972, S. 212, CENA ZŁ 25.—

Wydana niedawno książka H. Borka to popularna monografia nazewnictwa Opolszczyzny. Zadaniem pracy jest „przystępne omówienie pochodzenia i historii wszystkich nazw aktualnie istniejących osad Opolszczyzny w jej obecnych granicach administracyjnych” (s. 8). Już zrealizowanie tego celu wystarczyłoby, by uznać książkę za dobrą popularyzację osiągnięć onomastyki. Onomastę może tu zainteresować jedynie poprawność podanych etymologii. H. Borek nie ogranicza się jednak do podania pierwotnych znaczeń. „Nowością i równocześnie jednym z głównych celów pracy jest ukazanie nazewnictwa miejscowego jako odbicia różnorodnych zjawisk przyrodniczych, gospodarczych, społecznych — zwłaszcza osadniczych i etnicznych” (s. 8). Ta strona pracy zainteresuje zarówno zwykłego czytelnika, jak i onomastę, historyka, archeologa.

Co, jak i ile mówią nazwy — to problem nienowoty. Już od dawna historycy usiłowali wykorzystać nazwy jako materiał dowodowy dla swych tez (wprawdzie interpretowali je często w sposób zgoła fantastyczny). Dziś sytuacja zmieniła się: konfrontacja tego, co mówią nazwy, z ustaleniami historyków, geografów, archeologów, jest sprawdzianem przydatności analizy onomastycznej dla badań pozajęzykowych. O tego rodzaju konfrontację pokusił się autor.

W rozdziale wstępnym: *Czym są nazwy miejscowe?* H. Borek stara się odpowiedzieć na postawione w tytule pytanie. Za podstawę wydzielenia nazw własnych od pospolitych przyjmuje ich funkcję odróżniającą — wyróżnienie oznaczonego przedmiotu spośród innych należących do tej samej klasy (Jana spośród ludzi, Odrę spośród rzek, Opole spośród miejscowości). Natomiast nazwy pospolite spełniają funkcję charakteryzującą: ich znaczenie opiera się na zespole cech właściwych danej klasie zjawisk, przedmiotów.

W swej pracy H. Borek posłużył się — jako podstawową — klasyfikacją nazw W. Taszyckiego. W kolejnych rozdziałach omówił 8 grup znaczeniowych (nazwy topograficzne, kulturowe, patronimiczne, dzierżawcze, etniczne, służebne i zawodowe, rodowe i rodzime, zdrobniałe) oraz nazwy pochodzenia niemieckiego, przytaczając wraz z objaśnieniami cały materiał (indeks na końcu książki ułatwia znalezienie interesującej czytelnika nazwy). Przedstawione przez H. Borka tabele i mapy ilustrują układ geograficzno-chronologiczny poszczególnych typów nazw. Gdybyśmy połączyli kilka tabel z książki, otrzymalibyśmy jedną — zbiorczą — rzucającą wiele światła na reprezentatywność poszczególnych grup znaczeniowych i ich rozwarstwienie chronologiczne:

Nazwy poświędzone	Typy nazewnicze									Ogółem	
	top.	kult.	patr.	dzierż.	etn.	służ.	rod.	zdr.	poch. niem.	liczka	%
do XIII w.	143	48	192	157	3	15	5	—	35	599	37
XIV-XV w.	65	29	87	36	8	7	3	6	56	297	17
od XVI	222	167	51	120	4	7	35	20	198	824	48
Razem	430	224	330	314	15	29	43	26	279	1720	100

Najbardziej typowe dla Opolszczyzny są nazwy topograficzne (30%), patronimiczne (25%), dzierżawcze (22%) i kulturowe (17%). Różny jest ich układ chronologiczno-geograficzny: nazwy topograficzne są rozłożone dosyć równomiernie, choć nieznacznie przeważają na terenach rolniczo-leśnych, nazwy patronimiczne przeważają na żyznych bezleśnych obszarach zachodniej części Opolszczyzny. Nazwy dzierżawcze należą do najżywotniejszych.

Do XIII wieku nazewnictwo na Śląsku Opolskim było czysto słowiańskie. Dopiero od XIII w. (początki kolonizacji niemieckiej) spotykamy w nazewnictwie ślady zmagania żywiołu polskiego i niemieckiego. Zadaje to kłam twierdzeniom części historyków niemieckich, którzy istnienie śladów polskości na Śląsku tłumaczą migracją polską już po skolonizowaniu Śląska przez Niemców.

O komplikowaniu się stosunków narodowościowych świadczą pewne procesy nazewnicze, np. *Gielczyce* — *Gelczicz* 1300, *Geltendorf* oraz *Ottendorf* — *Ottyndorf* 1306, *Ocyicy* 1306, *Ocice* 1845 czy wypadki fonetycznego przyswajania pierwotnej nazwy niemieckiej (por. *Kluczbork*).

Do XVI w. nazw pierwotnie niemieckich było 97. Po tym okresie liczba ich wzrasta do 300, ale stanowią one dalej niewielki procent wśród pojawiających się

nazw polskich. Dowodu na polskość nazewnictwa tych ziem dostarczyli sami Niemcy, sporządzając tuż przed II wojną światową kartotekę polskich nazw terenowych w celu ich zniemczenia.

W ostatnim rozdziale: *Co nam mówią nazwy miejscowe Opolszczyzny?* autor konfrontuje to, co niesie materiał nazewniczy, ze znaleziskami archeologicznymi i informacjami historycznymi, a także warunkami terenowymi i przyrodniczymi. Z tej konfrontacji wyciąga bardzo ostrożnie wnioski dotyczące stosunków osadniczych i etnicznych. Omawiając procesy osadnicze w trzech etapach (analiza typologiczna i mikrotypowa), H. Borek podaje następującą kolejność chronologiczną najważniejszych typów nazewniczych, dość istotnie różniącą się od kolejności ustalonej przez W. Taszyckiego: 1. stara warstwa nazw topograficznych, 2. nazwy dzierżawcze z przyrostkiem *-jb, 3. stara warstwa nazw dzierżawczych z przyrostkiem -ow-/-in-, 4. nazwy patronimiczne, 5. stara warstwa nazw kulturowych, 6. nazwy etniczne na -any, 7. nazwy służebne właściwe, 8. stare nazwy rodowe. Ta kolejność w powiązaniu z zasięgami geograficznymi umożliwi ustalenie najstarszych terenów osadniczych oraz porządku ich zasiedlenia. Najwięcej nazw w okresie do XIII wieku pochodzi z terenów lewobrzeżnej Odry, bezleśnych i o dobrych glebach. Potwierdzają to dane archeologiczne i historyczne.

Książka H. Borka jest bardzo wartościową pozycją z zakresu literatury popularnonaukowej. Jej popularność sprowadza się do strony formalnej. Od strony merytorycznej opracowanie to prezentuje wysoki poziom naukowy. Można by mieć pretensję o zbyt dużą jednoznaczność interpretacji nazw wątpliwych, ale w tego typu pracy jest ona usprawiedliwiona.

Stanisław Gajda

RACJE TRANSLITERACJI

Wyraz *transliteracja* znaczy: przeniesienie fragmentu tekstu pisanego literami jednego alfabetu do tekstu pisanego alfabetem innym, czyli zastąpienie liter będących graficznymi składnikami jednego napisu takimiż składnikami pisowni w języku innym. Zasada jest bardzo prosta: napisy powinny sobie odpowiadać „litera w literę”; jeżeli na przykład w pisowni rosyjskiej wyraz odpowiadający naszemu *ojciec* pisany jest *oreu*, a więc za pomocą czterech liter, to jego postacią transliterowaną w tekście polskim będzie napis *otec*. Wielu osobom się wydaje, że jest to zniekształcanie wyrazu, który w języku rosyjskim brzmi *atiec*. Zwolennicy tego poglądu uważają, że nazwiska obce należy pisać zgodnie z ich oryginalną wymową, a nie z ich pisownią — to znaczy tak, jak się pisze u nas *Szekspir* (a nie *Shakespeare*), *Waszyngton* (a nie *Washington*) itp. Rzecz jest jednak wcale nie taka prosta. Po pierwsze pisownia fonetyczna obcego nazwiska może sprawiać duże trudności: jak na przykład napisać po polsku nazwisko *Galsworthy*? Prócz tego „spolonizowany” sposób napisania nazwiska może bardzo komplikować odnalezienie jego oryginalnej postaci graficznej.

Pan Gabriel Karski zechciał przysłać do Redakcji „figielek lingwistyczny, którym rozkoszował się Tuwim”: jeżeli brzmienie nazwiska francuskiego oddamy za pomocą trzech liter jako *Eno* (w tekście rosyjskim — *Эно*), to graficznego odpowiednika francuskiego będziemy musieli szukać wśród nieprawdopodobnie licznych form, jak na przykład: *Enot, Enod, Enau, Enaut, Enaud, Enault, Eneau, Aino, Aynot, Einot, Enot, Einau, Einaut, Henot, Henau, Hainot, Hayno, Heyno, Heinau, Heineau* itd. Nikt z czytelników nie zgadnie, ile takich wariantów może się zbierać, a przynajmniej, ile ich zbierał Tuwim. Otóż liczba tych wariantów wynosi... 360! Trudno by było znaleźć argument bardziej zdecydowanie przemawiający za tym, że stosowanie zasady transliteracji jest prostsze niż zgadywanie, jak się w obcym języku może pisać nazwisko, którego przybliżone brzmienie spotykamy w tekście pisanym alfabetem innym niż oryginalny.

Witold Doroszewski

W poprzednim odcinku tej rubryki omawialiśmy konkurs na zastąpienie krótszym terminem określenia *środku masowego przekazu*, oceniany przez Wł. Kopalińskiego, propagującego termin *medium*, *media*. Temuż konkursowi poświęcił całą stronę druku „Express Wieczorny” (nr 108: *Plon naszego konkursu: jak nazwać „środku masowego przekazu”*), organizator imprezy. Dowiadujemy się więc, że zgłoszono ponad 3 tysiące pomysłów słowotwórczych. „Express” podał około 150 — dla przykładu. Oprócz cytowanych już przez Wł. Kopalińskiego formacji lub określeń warto może wspomnieć o paru skrótowcach, np. *RPT* (*erpete*, tzn. radio, prasa, telewizja), *prat*, *pra-ra-te* itp. Badacza budowy wyrazów może zainteresować fakt, że nawet w tego rodzaju „twórczości językowej” daje o sobie znać zjawisko współfunkcyjności formantów: oto obok hasła *przekazniki* pojawiły się pokrewne formacje: *przekazowniki*, *przekazywacze*, *przekaznica* oraz dość dziwaczny twór: *przekazowidz*. Ciekawsze, a może nawet zabawne hasła o źródłosłowie swojskim — to: *wiedniki*, *przesylnie*, *wieścionosy*, jeśli zaś chodzi o materiał słowotwórczy obcy: *orientory*, *orientatory* i wymienione już w poprzednim zeszycie „Poradnika”, stosunkowo udatne *publikatory*. Jak dotychczas jednak praktycznego wyniku ów konkurs nie przyniósł. Dość sceptycznie do tego rodzaju przedsięwzięć odnoszą się też wszyscy warszawscy językoznawcy, których wypowiedzi przytacza dziennik. Obok prof. dra W. Doroszewskiego głos zabrali: prof. dr S. Skorupka oraz docenci dr H. Kurkowska i dr D. Buttlerowa. Wszyscy ci badacze mają zastrzeżenia co do nienaganności terminu *środku masowego przekazu*, zwłaszcza co do wyrazów *masowy* i *przekaz*. Zamiast *masowy* uczeni nasi jak najsluszniej proponują przymiotnik *powszechny* lub *publiczny*. W formie *przekaz* prof. dr W. Doroszewski krytykuje jednokrotność (nie zaś wielokrotność, o którą tu przecież chodzi) wyrażanej przez ten wyraz czynności (*przekazanie*, a nie *przekazywanie*), natomiast prof. dr S. Skorupka twierdzi, że *przekaz* to przede wszystkim «dowód informujący o czymś», podczas gdy idzie o informacje i dobra kulturalne, przekazywane obywatelom. Z takim ujęciem sprawy można by polemizować. Prof. Skorupka, jak widać, pojmuje *przekaz* jako formację wyłącznie podmiotową (ściślej, podmiotową bierną: «to, co zostało przekazane») i rzeczywiście tak można rozumieć trzecie użycie tego wyrazu podane w *SJP* pod red. prof. W. Doroszewskiego (t. VII) oraz powtórzone w *Małym SJP*. Niewątpliwie jednak, jak w wielu innych wypadkach, mamy tu do czynienia z formacją „opalizującą”, czyli mającą charakter zarówno podmiotowy (częściej), jak i orzeczeniowy, czynnościowy. Najwyraźniej mówi o tym wypowiedź prof. dra Doroszewskiego (przed chwilą częściowo cytowana): „*przekaz* to określenie czynności [podkr. A.S.] jednokrotnej, dokonanej, znaczącej tyle, co *przekazanie*”. Kończąc omawianie konkursu trudno powstrzymać się od przytoczenia słusznych słów doc. dr H. Kurkowskiej, iż tego rodzaju imprezy są pożyteczne, bo rozbudzają „wśród czytelników zainteresowania językoznawcze. A to zawsze przynosi korzyść”.

*

Chcąc pozostać nadal przy sprawach słownictwa, możemy sięgnąć po tenże 108 nr „Expressu Wieczornego”, by zapoznać się z fachowo a zarazem żywo napisanym felietonem historyczno-językowym pt. *Od nowin i nowiniarza do dziennika i dziennikarza*, pióra dra W. Pisarka. Autor przypomina, że w XVI i XVII wieku,

w epoce narodzin naszego dziennikarstwa, konkurowały ze sobą trzy nazwy: *awizy*, *nowiny* i *gazety* (z jęz. włoskiego, początkowo tylko w liczbie mnogiej). Wydawcy i autorzy piszący w owych *nowinach* (nazwa ta, lub jej odpowiedniki, zachowała się do dziś w większości — poza polskim — języków słowiańskich) nazywali się *nowiniarzami* (stąd na warszawskim Starym Mieście ul. *Nowiniarska* — przyp. A.S.), *awizarzami* lub — do początku w. XIX — *gazeciarzami*. W ciągu XVIII w. *gazeta* ostatecznie wyparła swojskie *nowiny*, obok niej pojawił się *kurier*, pod koniec zaś stulecia przybył jeszcze jeden konkurent — *dziennik*, który odniósł wkrótce zwycięstwo. Początkowo nie oznaczał on zresztą gazety codziennej. Od formy *dziennik*, oczywiście znanej w języku od dawna, ale w innym, do dziś istniejącym znaczeniu «zapisków, notatek» — powstały niebawem liczne urobienia, czyli wyrazy pochodne: *dziennikarz*, *dziennikarski*, *dziennikarstwo*, *dziennikarka*. Jak zauważa W. Pisarek, formacja ta służyła też za wzór wyrazom znaczeniowo pokrewnym: *tygodnik*, *miesięcznik*, *kwartalnik* itp. Określenie ogólne *prasa* — o rdzeniu łacińskim a pochodzeniu niemieckim (zresztą analogiczne formy ustaliły się też w angielskim, francuskim; Włosi — dodajmy — posłużyli się przekładem: *la stampa*, podobnie jak uczynili to, o czym wspomina autor artykułu, niemal wszyscy Słowianie), otóż określenie *prasa* przyjęło się dopiero pod koniec ub. stulecia, i to nie bez oporów. W. Pisarek przytacza gorący sprzeciw F. Skobla, znanego w swoim czasie purysty językowego, który krytykując obcą, „ciemną i przenośną” prasę wolał poprzestać na liczbie mnogiej *dzienniki*. Wpływom niemieckim zawdzięczamy zresztą nie tylko prasę, ale także *czasopismo* (kalka niem. *Zeitschrift*) — wyraz ukuty pod koniec XVIII w. Oparliśmy się natomiast, przypomina autor, innemu przybyszowi, bardzo rozpowszechnionemu w XIX wieku *żurnaliście* i wyrazom pochodnym (*żurnalistyka*, *żurnalistka*); jest to oczywiście wyraz pochodzenia francuskiego, zadomowiony w całej prawie Europie, włącznie z krajami słowiańskimi. Uzupełnijmy w tym miejscu felieton W. Pisarka: żyje do dziś dnia wyraz *żurnal* (brzmiący dokładnie, z wyjątkiem przycisku, jak fr. *journal* «dziennik») w zwięzonym znaczeniu «ilustrowanego pisma poświęconego modzie ubraniowej». „Dziś o *nowiniarzu* i *awizarzu* zapomnieliśmy zupełnie, *gazeciarzowi* kazaliśmy sprzedawać prasę na ulicy, *żurnalista* służy nam jako przedmiot żartów. A współczesny *dziennikarz*? Lubi nazywać się *publicystą*” — kończy W. Pisarek swój wzorowy, godny naśladowania — oczywiście w odniesieniu do innych grup wyrazowych — prawdziwie popularnonaukowy artykuł.

*

Praca nad słownictwem specjalistycznym, fachowym, jest bardzo ważnym fragmentem pracy nad kulturą języka. Z satysfakcją odnotowujemy każdy głos na ten temat, zwłaszcza zaś, gdy pochodzi od tak wybitnego uczonego, jakim jest — w dziedzinie medycyny — prof. dr Tadeusz Kielanowski. Zamieścił on na łamach tygodnika „Służba Zdrowia” (nr 19) zwięzły artykuł pt. *O języku naukowym, czyli lew z głową kozy (brzydki!)*. Rzecz dotyczy języka lekarskiego, tytuł zaś nawiązuje do „okropnego zrosłaka” — jak autor nazywa hybrydę słowotwórczą, tzn. połączenie rdzenia greckiego z łacińskim: *pulmonologia* (= nauka o chorobach płuc). „Cały świat nazywa tę dziedzinę — pisze prof. Kielanowski — *pneumonologią*, od greckiego *pneumon* i *logos*”. W zasadzie autor ma słuszność, olbrzymia większość słownictwa lekarskiego opiera się na grece (prof. Kielanowski przypomina, że np. mówimy *kardiologia*, *gastritis*, nie zaś z łacińska — *korologia*, *ventriculitis* itp.) i nie ma potrzeby zmieniać tej dążności, poza tym zaś — w rzeczy samej — raczej unikamy słów-hybryd, niemniej jednak formy takie istnieją, zarówno w języku ogólnym, np. *aspołeczny* (z grecką częstką *a*, oznaczającą zaprzeczenie i rodzimym morfemem *spół-*, *społecz-*), jak i naukowym. Właśnie w dziedzinie medycyny mocno

zakorzeniła się taka choćby łacińsko-grecka hybryda, jak *radiologia* (łac. *radius* «promień» i greckie *logos* «wiedza»). Ten szczegół w niczym nie umniejsza słuszności apelu prof. Kielanowskiego o większą troskę i pracę nad językiem lekarskim. Autor wręcz zapytuje, czy nie mogłaby powstać przy VI wydziale PAN komisja językowa, złożona z lekarzy i językoznawców, która w szczególności ustalałaby właściwe brzmienie nowo powstających terminów, tak swojskich, jak i obcego pochodzenia. Myśl godna stanowczo urzeczywistnienia, i to nie tylko jeśli chodzi o słownictwo medyczne. W części szczegółowej autor dzieli się z czytelnikami wątpliwościami co do kilku form. Zapytuje np., co lepsze: *dyfteryt*, czy *dyfteria*? Obie te postaci znajdujemy w najnowszym *SJP*, praktycznie biorąc, pierwsza z nich jest o wiele częstsza. *Odma opłucna* — czy *opłucnowa*, *odma samoistna*, czy *samородna*, *rak oskrzelowy* — czy *oskrzela*? Takie są dalsze zapytania. Ze stanowiska językoznawczego w ostatnim z przytoczonych przykładów wyrazistsza jest postać dopełniaczowa niż z przymiotnikiem: *rak oskrzela*. Na pytanie, jak mówić: *krzepnięcie* czy *krzepnienie krwi* — bezwzględnie odpowiemy: *krzepnięcie*. Zupełnie wyjątkowo zachowujemy archaiczne postaci rzeczowników odsłownych na *-enie*, wtedy mianowicie, gdy zachodzi konieczność odróżnienia dwu odrębnych znaczeń, np. *ciągnięcie* — zwykła formacja rzeczownikowa od *ciągnąć* obok archaicznego *ciągnięcie*, w odniesieniu do loterii; w wypadku *krzepnięcia* nie zachodzi jednak konieczność rozróżnień znaczeniowych. Innego typu uwagi autora dotyczą nadmiernego rozpowszechniania się słów modnych, jak *trend* (choć być może *tendencja*, *dążność*, *kierunek* niezupełnie oddają odcień znaczeniowy tego angielskiego słówka) lub *randomizacja*. Ze wstydem przyznaję, że tej formy w ogóle nie znam, nie notują jej też jeszcze słowniki.

*

Białostockozna obiektem badań naukowych — Komisja Językoznawcza BTN — w artykule pod takim tytułem M. Hajduk szeroko i ze szczerem a usprawiedliwionym uznaniem omawia dotychczasową działalność oraz plany na najbliższą przyszłość pracującej od 1969 r. Komisji Białostockiego Tow. Naukowego (nr 117 „Gazety Białostockiej”). Prezydium Komisji stanowią: prof. dr A. Obrębska-Jabłońska, doc. dr T. Zdancewicz i dr E. Smułkowa, w skład jej zaś wchodzi liczni językoznawcy starszego i młodszego pokolenia, przede wszystkim z Uniwersytetu Warszawskiego (ale także z uniwersytetów w Krakowie, Poznaniu, Toruniu) oraz z Zakładu Słowianoznawstwa PAN. Komisja prowadzi prace ściśle badawcze, a obok nich również kulturalno-językowe, te ostatnie głównie z inicjatywy dr B. Falińskiej, inspirującej działalność łomżyńskiego oddziału Tow. Kultury Języka. Komisja gromadzi bibliografię prac językoznawczych poświęconych Białostocczyźnie, w roku 1973 ma zamiar zorganizować sympozjum bałtosłowiańskie z udziałem uczonych polskich i zagranicznych. Bardzo ciekawie zapowiada się złożona już do druku w PWN, pierwsza tego typu praca zbiorowa pt. *Teksty gwarowe z województwa białostockiego*. Pokażemy ten tom ma zawierać przykłady gwar polskich, białoruskich, białorusko-ukraińskich, rosyjskich i litewskich — podane w dwu wersjach, a więc w transkrypcji naukowej oraz uproszczonej, oczywiście z komentarzami. Redaktorem tej pracy jest prof. dr A. Obrębska-Jabłońska, natomiast doc. dr T. Zdancewicz przygotował monografię pt. „Gwara Suwalszczyzny”. Z zainteresowaniem czytelników spotka się też na pewno zapowiadany druk przekładu „Pana Tadeusza”, dokonanego na język białoruski w latach międzywojennych przez B. Taraszkiewicza, białoruskiego działacza rewolucyjnego.

*

Skoro mowa o językoznawcach, odnotujmy ważki głos prof. dra W. Doroszewskiego w dyskusji nad problemami humanistyki polskiej, prowadzonej m.in. na

łamach „Trybuny Ludu” (nr 128, *Jutro humanistyki polskiej*). Wypowiedź prof. dra Doroszewskiego redakcja zaopatrzyła nagłówkiem *Współdziałanie niezbędne jak powietrze*. Autor stwierdza, że „językoznawstwo jest nauką o jednej z form działania człowieka”, od momentu zaś, kiedy zainteresowało się ono techniką myślenia, włączyło się we wspólny nurt pracy z takimi dziedzinami, jak psychologia, biologia, fizjologia. Jako dyscyplinie sięgającej także w przyszłość oraz mającej charakter społeczno-pedagogiczny, nie mogą być obce językoznawstwu również problemy futurologii. Jak zawsze, tak i tym razem autor z naciskiem pisze o społecznych zadaniach językoznawstwa, wzmagających poczucie odpowiedzialności za wszelkie prace lingwistów.

W tymże numerze „T.L.” wypowiadają się również: prof. dr Z. Rybicki, podkreślając postulat wspólnoty poczynań wszystkich środowisk naukowych, uniwersyteckich, akademijnych i innych oraz prof. dr K. Kumaniecki. Podejmuje on tematykę, poruszoną przez prof. Doroszewskiego, pisze mianowicie o konieczności oddziaływania nauk humanistycznych na społeczeństwo, o postulacie współtworzenia modelu zachowań i myślenia. Autor uważa, że nasze nauki nie spełniają oczekiwań społeczeństwa, nie w pełni odpowiadają na najistotniejsze pytania. A przecież, jak się wyraził Erazm z Rotterdamu, są to „nauki, bez których nie będziemy ludźmi”. Prof. Kumaniecki z radością wita zapowiedź wzmożenia badań nad historią kultury, badań całościowych, opartych na zdobyczach poszczególnych dyscyplin humanistyki.

*

Na zakończenie — drobiażdżek z dziedziny poprawności. Wyczulony na kulturę języka Brunon Miecugow w jednym ze swoich *Żywocików literackich* („Życie Literackie”, nr 15) słusznie się zżyma na natrętne, pseudonaukowe (tym razem zaczerpnięte z dziedziny matematyki i statystyki) wyrażenie *liczba rzędu*: „Konia z rzędem temu, kto wyjaśni, po co wprowadzono idiotyczny zwyczaj podawania *rzędu* zamiast odpowiedniej liczby, co się od pewnego czasu utarło w naszym radiu i TV”, np.: wyprodukujemy odbiorników *rzędu sto tysięcy*. Po co wprowadzono ten zwyczaj — trudno odpowiedzieć, ale dlaczego — wspomniałem o tym na wstępie: jest to, a raczej ma być, jeszcze jeden dowód „uczoności”, „fachowości”. Ale naprawdę — to tylko szpetna maniera, chęć zaimponowania słuchaczom. Zaimponowania — poza? Dziękuję, wolę inne ozdobniki.

A. S.

Integrować

Ob. Maria Martin z Łodzi prosi o wyjaśnienie, co znaczy właściwie słowo *integrować* często używane w prasie, w audycjach radiowych i programach telewizyjnych. Korespondentka, orientując się w łacińskim pochodzeniu wyrazu, sądzi, że forma pierwszej osoby *integrare* powinna znaczyć «odświeżam, odnawiam, orzeźwiam», i pyta, czy można temu wyrazowi nadawać inny sens w zależności od intencji autora. — Intencja autora powinna być zgodna z tym, co wyraz znaczy, i właśnie od sprecyzowania tego, co wyraz znaczy, należy zaczynać. Czasownik łaciński *integrare* może mieć te znaczenia, które wymienia korespondentka, a mianowicie znaczenie «odnawiania». Ten czasownik ma w łacinie podstawę przymiotnikową: *integer* znaczy po łacinie «cały, nie naruszony, nie tknięty», także w znaczeniu przenośnym: «nie tknięty, nie splamiony żadną skazą moralną», jak w znanej odzie Horacego: „*Integer vitae, scelerisque purus*” — «nie tknięty życiem, występkiem; czysty». To znaczenie dochowało się w języku francuskim: *intègre* — to «odznaczający się wysokim poziomem moralnym, prawy, nieprzekupny». W języku polskim *integralny* to «nierozdzielnie związany z całością, stanowiący całość, nienaruszalny, całkowity», *integrować* to «łączyć w jedną całość; scalać, dopełniać». Obydwa wyrazy, chociaż obcego pochodzenia, nie są rażące i mają określony zakres użycia. Jeżeli powiemy, że w obecnym etapie rozwojowym języka polskiego zachodzi proces *integracji* gwar, to rozumiemy, że różnice zachodzące między gwarami maleją, wzrasta natomiast jedność języka literackiego, ogólnopolskiego.

Ich ślub?

Ob. Janina Wronowska z Torunia prosi o opinię co do tego, które z dwóch cytowanych przez nią zdań ma poprawną budowę gramatyczną: „Za złożone życzenia z okazji ich ślubu serdecznie dziękują tacy a tacy”, czy też: „Za złożone życzenia z okazji naszego ślubu serdeczne podziękowania składają tacy a tacy”. — W obu zdaniach jest niezręczność stylistyczna nie zauważona przez tych, którzy się o te zdania spierali, a mianowicie: zamiast „za złożone życzenia z okazji” należało napisać: „za życzenia złożone z okazji”. Można było imiesłowu *złożone* w ogóle nie używać: *zyczenia z okazji ślubu* nie byłoby wyrażeniem rażącym, bo jeżeli „*Życzę panu (czegoś) z okazji ślubu*”, to można i *prześcić zyczenia z okazji ślubu*; forma *zyczenia* jest rzeczownikiem odczasownikowym,

w którym znaczenie czynności jest żywe, ale jeżeli oprócz wyrazu *życzenia* używa się imiesłowu *złożone*, to należy okolicznik z *okazji* łączyć bezpośrednio z tym imiesłowem; *życzenia złożone z okazji* jest dobrze, *złożone życzenia z okazji* jest gorzej. Korespondentce chodzi jednak o inną kwestię, o to mianowicie, czy ci, którzy się podpisują pod podziękowaniem za życzenia mają użyć formy *ich ślubu* czy też *naszego ślubu*. Na tym tle doszło do ostrej wymiany słów i zarzucania sobie nieznamomości języka polskiego. Temperament ożywia dyskusję, ale może ją i wykolejać. W obu wersjach podziękowania jest pewna stylistyczna niewłaściwość. Każdy chyba powie nie namyślając się: „Zabrali swoje manatki i poszli”; nie wymienionym podmiotem są w tym zdaniu ci, do których należały manatki, i tym się tłumaczy użycie zaimka dzierżawczego *swoje*, a nie formy dopełniaczowej *ich*. Zdanie: „Zabrali ich manatki” znaczyłoby, że manatki zabrali nie ci, do kogo one należały. Podobnie ci, którzy wzięli ślub, powinni dziękować za życzenia z okazji *swego* ślubu, a nie: *ich* ślubu. Korespondentka uważa, że jeżeli nowożeńcy dziękując za życzenia z racji ślubu własnego, piszą: *naszego ślubu*, to powinni użyć formy pierwszej osoby czasownika — *składamy*, a nie trzeciej — *składają*. Niezależnie od tego, czy podpisani pod podziękowaniem użyją formy pierwszej osoby — *składamy* czy trzeciej — *składają*, określeniem, o czyj ślub chodzi, powinien być zaimek dzierżawczy *swój*: „Za życzenia z okazji *swego* ślubu dziękują” albo — za to samo: *dziękujemy*, bo zasada jest taka, że przynależność dopełnienia do podmiotu zdania jest oznaczana w języku polskim za pomocą zaimka *swój*, a nie *mój*, *twój*, *nasz*, *wasz*, ani też form *jego* czy *ich*. W pierwszym zdaniu *swego* (właśnie *swego*, a nie *jej*) listu korespondentka pisze: „Ogromnie mi zależy, aby Pan Doktor (z o kreskowanym, ale to inna kwestia) podał swoją opinię”... Forma *swoją* jest tu użyta dobrze, bo określa stosunek podmiotu zdania: *Pan do opinii*. — Ostatnia uwaga: zamiast „*opinię odnośnie sformułowania*”, lepiej: *opinię co do sformułowania*.

Być do kogoś?

Ob. M. Nowicka z Cieszyna usłyszała w programie telewizyjnym zwrot skierowany do kogoś jako pytanie: „państwo są do mnie?” — Gdy ten zwrot przeczytałem w liście korespondentki, nie zrozumiałem w pierwszej chwili, o co chodzi. Wśród różnych związków składniowych czasownika *być* nie ma związku *być do kogoś*. Można *być do kogoś podobnym*, ale tu *do kogoś* wiąże się z przymiotnikiem *podobny*, a nie z czasownikiem *być*. Już lepiej brzmiałoby pytanie w formie skrótowej: „państwo do mnie?”, bo rozumielibyśmy, że to skrót. Według korespondentki w formie poprawnej pytanie powinno brzmieć: „czy państwo przysłicie do mnie?”. Lepsza od formy drugiej osoby *przysłicie* byłaby forma osoby trzeciej: *czy państwo przysli do mnie?*, tak samo jak formą uprzejmiejszą jest forma *niech pan to weźmie niż weź pan to*.

Cieszyć się na coś

Ob. Urszula Minkiewicz z Oliwy pyta, czy wyrażenie *cieszę się na twój widok* jest poprawne. — Na ten temat toczyły się dyskusje między gramatykami. Stało — między nimi przynajmniej — na tym, że *cieszyć się na* jest poprawne, jeżeli ma wyrażać przyczynę przyszłej radości, jak na przykład w zdaniu z Iwaszkiewicza: „Podwieczorek, na który tak się cieszył, znudził go”. Podobnie u Brezy: „Cieszył się na ten moment, kiedy zostanie w mieszkaniu sam”, u Parandowskiego: „Troskliwie ładowano łupy zdobyczne, ciesząc się na myśl, jakie one uczynią wrażenie w ojczyźnie”. W tych zdaniach łączenie z czasownikiem *cieszyć się* przyimka *na* nie razi nas; można stwierdzić, że *cieszyć się na* znaczy «cieszyć się wyobrażając sobie coś» i jeżeli ten odcień wyraźnie odczuwamy — czy też rozumiemy — w zdaniu, to nie ma powodu robienia autorom zarzutów dotyczących stylu. Gdyby natomiast ktoś powiedział „cieszę się na kolację”, to efekt byłby prawie komiczny. *Wyobrażać sobie coś*, to trochę metaforycznie mówiąc, widzieć coś oczami wyobraźni. W „Zabawach przyjemnych i pożytecznych” (druga połowa osiemnastego wieku) czytamy na przykład wiersz: „Lasy, pagórki, pola nieścignione okiem, o, jak cudnym myśl błędną karmicie widokiem”; *widok* znaczy tu i widzenie, i wyobrażanie sobie; to, co jest „nieścignione okiem” autor wiersza włącza do „widoku”, który karmi „myśl błędną” (to znaczy myśl błądzącą, błakającą się, a nie fałszywą, jak byśmy to dziś rozumieli). Z wyrazem *widok* ze względu na jego wieloznaczność może się łączyć przyimek *na*. *Cieszę się na twój widok* nie jest niepoprawne, jest tylko odrobinę bardziej „urzędowe” od całkiem potocznego *cieszę się, że cię widzę*.

Nad Obem — nad Obią

Dr Antoni Nasilowski z Sosnowca ze zdziwieniem przeczytał w „Zasadach pisowni i interpunkcji” z roku 1936 oraz w podręczniku zatwierdzonym do użytku szkolnego przez Ministerstwo w roku 1949, że nazwa rzeki syberyjskiej *Ob* jest potraktowana jako rzeczownik rodzaju męskiego i w związku z tym odmieniana: dopełniacz *Obu*, narzędnik *nad Obem*. W nawiasie dodana jest we wspomnianym tekście uwaga: rzadziej *Ob*, *Obi*, *nad Obią*. Korespondent uważa, że umieszczenie w wymienionych tekstach formy *Ob* jako męskiej świadczy o nieznanym języka rosyjskiego tych, którzy tę formę wprowadzili. „Co byśmy pomyśleli, pisze korespondent, ujrzawszy w rosyjskim urzędowym podręczniku odmianę *Narewu*, *Narewowi*?” — Jakakolwiek by była urzędowo przyjęta rosyjska forma nazwy *Narew*, dopełniacz nie mógłby w każdym razie mieć formy *Narewu*. — Co do nazwy *Ob*, to jej chwiejność w języku polskim tłumaczy się tym, że spółgłoski wargowe miękkie na końcu wyrazu zatraciły w naszej wymowie swoją miękkość: mówimy *gołąb*, z końcowym *b* (czy też

z bezdźwięcznym p) twardym; miękkość ukazuje się dopiero w dopełniaczu: *gołębia*. Odpowiedni wyraz rosyjski ma spółgłoskę miękką i w zakończeniu mianownika: *gołub*, i w przypadkach zależnych: *gołubia* (tak samo polskie *osiem* ma końcowe *m* twarde — rosyjskie *wosiem* *m* miękkie). Nazwa rzeki, którą wymienia korespondent, brzmi w języku rosyjskim *Oб* z końcowym *b* miękkim, jest rodzaju żeńskiego i ma odpowiednie formy odmiany: dopełniacz *Оби*, celownik *Оби* itd. Nazwa ta w języku polskim traci miękkość końcową spółgłoski formy mianownika, bo ta spółgłoska jest wargowa, i to pociąga za sobą traktowanie jej jako męskiej: *Ob*, dopełniacz *Obu*. Różnice rodzaju gramatycznego nazw geograficznych zdarzają się i w innych wypadkach: nazwa miasta *Kazań* — ros. *Kazań* jest w języku polskim męska, w rosyjskim żeńska.

Kircholm i Churchill

Klasa ósma szkoły podstawowej w Parchowie w województwie wrocławskim prosi o wyjaśnienie, jak się powinno pisać nazwę miejscowości, w której Chodkiewicz odniósł zwycięstwo nad Szwedami w roku 1605: *Kirchholm* czy też *Kircholm*. W Encyklopedii z roku 1959, w podręczniku historii oraz na mapie historycznej zastosowana jest pisownia *Kirch-holm* (to znaczy *ch* i potem *h*), w Encyklopedii natomiast z roku 1971 podana jest forma *Kircholm* — tylko *ch*; w Encyklopedii popularnej PWN wydanej w roku 1962 — to dodaję od siebie — pisownia omawianej nazwy jest taka sama jak w źródłach wymienionych na początku listu korespondentów, to znaczy *Kirchholm*.

Jest niedobrze, jeżeli w wydawnictwach, z których każde jest poważne i mogłoby być uważane za źródło rozstrzygające wszelkie wątpliwości, są informacje różnorakie. Jest to następstwem braku koordynacji prac różnych placówek, czego w niektórych wypadkach nie można uniknąć. W Wielkiej Encyklopedii Powszechnej PWN, w tomie piątym, rok wydania 1965, znajdujemy pisownię *Kircholm*, prawdopodobnie zastosowaną dlatego, że ta pisownia została ustalona w wydawnictwie Instytutu Geograficznego Polskiej Akademii Nauk pod tytułem: „Polskie Nazewnictwo Geograficzne Świata” ogłoszonym w roku 1959. Cechą społeczeństwa cywilizowanego jest to, że praca jest w nim zorganizowana i rozdzielona między odpowiednie instytucje. Z chwilą, gdy instytucja powołana do opracowywania i rozstrzygania pewnych spraw doszła do określonego wniosku, wniosek ten powinien stać się obowiązujący dla innych instytucji i spory na temat kwestii, której on dotyczy, powinny ustawać. Inaczej nie można byłoby dojść do ładu w zakresie najrozmaitszych spraw. Stosowanie się do prawomocnych uchwał jest po pierwsze obowiązkiem społeczno-kulturalnym, po drugie upraszcza, czy też ułatwia, życie każdemu, kto sam się daną kwestią nie zajmował, ale się dowiaduje, jak została ona rozstrzygnięta. Jeżeli w „Polskim Nazewnictwie Geograficznym Świata”

wydanym, jak już wspomniałem, przez Instytut Geograficzny PAN, została przyjęta pisownia *Kircholm*, to należy tej pisowni się trzymać. Korespondenci kończą swój list prośbą nie tylko o poinformowanie o pisowni danej nazwy, ale i o jej uzasadnienie. Wyjaśnienie etymologii nazwy nie będzie w tym wypadku uzasadnieniem jej dzisiejszej przyjętej u nas pisowni. Nazwa jest niemiecka; składa się ona z wyrazów *Kirche* «kościół» i *Holm* «wyspa rzeczna, półwysep, wzniesienie, kopiec», złożenie *Kircholm* znaczyło więc «kościelne wzgórze» (pod względem etymologicznym ta właśnie pisownia byłaby uzasadniona, ale wolno nam było od niej odstąpić. W wyrazie *kiermasz* pierwsza sylaba *kier* wywodzi się również z niem. *Kirche*, tak sama jak *kir* w wyrazie *kirkut* — z niemieckiego *Kirch-hof* «dziejnieniec kościelny», ale nie pamiętamy już o tym). Niemieckiej formie *Kirche* odpowiada w języku angielskim wyraz *church* znaczący również «kościół, przybytek Pański» — z greckiego *κύριος* «Pan». Drugą część niemieckiego złożenia, *holm*, odnajdujemy w języku angielskim, w którym ten wyraz znaczy «wysepkę» i pozostaje w związku etymologicznym z wyrazem *hill* «wzgórze». Z połączenia wyrazów angielskich *church* «kościół» i *hill* «wzgórze» powstało złożenie *churchhill* «kościelne wzgórze», potem uproszczone przez zanik *h* w drugiej części złożenia — *Churchill* — forma, którą znamy jako nazwisko byłego premiera angielskiego. Dalekośmy odeszli od *Kircholmu*, ale poznawanie historii wyrazów to jak gdyby odbywanie podróży w przestrzeni i w czasie, zawsze interesujące i pouczające. Trzeba korzystać z tych fantastycznych możliwości, jakie nam daje istnienie słów, dzięki którym możemy te podróże odbywać.

W. D.

SŁOWNIK WYRAZÓW OBCYCH PWN

UKAZAŁ SIĘ

Stron 1034 oprawa płócienna obwoluta,
cena zł 180.—

Nowy Słownik wyrazów obcych PWN jest największym słownikiem tego typu, ukazującym się w Polsce Ludowej. Zawiera prawie 27 tys. wyrazów pochodzenia obcego.

Słownik uwzględnia powszechnie używane współczesne słownictwo pochodzenia obcego, jak również te wyrazy, z którymi możemy się jeszcze zetknąć w mowie starszego pokolenia. Rejestruje także słownictwo specjalistyczne z różnych dziedzin w stopniu interesującym szerszy ogół, tj. niespecjalistów. Ze słownictwa niewspółczesnego Słownik odnotowuje wyrazy charakterystyczne i ważne ze względów kulturowo-obyczajowych, spotykane jeszcze w literaturze. Zawiera także informacje etymologiczne, wyjaśniające pochodzenie danego wyrazu obcego. Wymowa wyrazów obcych i wyrazów pochodzenia obcego podawana jest wszędzie tam, gdzie może ona nastręczać jakiegokolwiek trudności.

Na końcu Słownika zgrupowane są w liczbie ok. 500 bardziej znane wyrażenia i zwroty obcojęzyczne. Przeznaczone są one raczej dla tych, którzy znają już dany język — stanowią tylko przypomnienie określonego zwrotu czy powiedzenia.

Słownik wyrazów obcych PWN został opracowany przez zespół pracowników Redakcji Słowników Języka Polskiego PWN przy współudziale wybitnych specjalistów. Redaktorem naukowym Słownika jest doc. dr Jan Tokarski.

WARUNKI PRENUMERATY CZASOPISMA

PORADNIK JĘZYKOWY

miesięcznik

Cena prenumeraty krajowej

I półrocze zł 36.—

II półrocze zł 24.—

Instytucje państwowe, społeczne, zakłady pracy, szkoły itp. mogą zamawiać prenumeratę wyłącznie w miejscowych oddziałach i delegaturach „Ruchu”.

Prenumeratory indywidualni mogą wpłacać prenumeratę w urzędach pocztowych i u listonoszy lub dokonywać wpłat na konto PKO Nr 1-6-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch”, Warszawa, ul. Towarowa 28 (w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty).

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 40% droższa od prenumeraty krajowej, przyjmuje Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch”, Warszawa, ul. Wronia 23, konto PKO Nr 1-6-100024.

Bieżące i archiwalne numery można nabywać lub zamawiać we Wzorcowni Wydawnictw Naukowych PAN — Ossolineum — PWN, Warszawa, Pałac Kultury i Nauki (wysoki parter) oraz w księgarniach naukowych „Domu Książki”.

Sprzedaż egzemplarzy numerów zdezaktualizowanych, na uprzednie pisemne zamówienie, prowadzi Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch”, Warszawa, ul. Towarowa 28.

Subscription orders can be sent directly to: „Ars Polona—Ruch” Warszawa 1 P.O. Box 154 (remittance of 7 \$ through the Bank Handlowy — Warszawa, Traugutta 7).

**TYLKO PRENUMERATA ZAPEWNIĄ REGULARNE OTRZYMYWANIE
CZASOPISMA**